



Miesięcznik  
społeczno - kulturalny  
Kielce czerwiec 1977  
Nr 6/81 Rok VIII

CENA 7 zł

W NUMERZE: Jacek Fedorowicz ♦ Stefan Kozicki ♦ Zbigniew Kurkowski ♦ Świętosław Krawczyński ♦ Jan Naumiuk ♦ Brunon Rajca ♦ Ryszard Smożewski ♦ Barbara Wachowicz

563/77

Wywiad z Ministrem Jerzym Kuberskim

# przemiany



...i znowu spać się kładą,  
w sny wchodzi pełne barw.  
Dzieci – słońce i radość,  
Dzieci – najdroższy skarb.

K.I. Gałczyński



## Z Ministrem Oświaty i Wychowania Jerzym Kuberskim rozmawia Tomasz Jeziorański

— Panie Ministrze, od blisko 5 lat resort, na którego czele Pan stoi przygotowuje, a stopniowo także już wciela w życie, reformę oświaty. Społeczeństwo odczuwa jednak pewne obawy nie tylko w kwestii powodzenia całej reformy, ale niekiedy wręcz zastanawia się nad jej celowością. Dowodem — listy napływające do redakcji od czytelników. Czy w związku z tym zechce Pan Minister odpowiedzieć na kilka — nie ukrywam tego — trudnych pytań?

— Naturalnie, tym bardziej, że nie wierzę w istnienie pytań tzw. trudnych. Chętnie ustosunkuję się do wątpliwości czytelników „Przemian”. To ciekawy miesięcznik.

— A więc na początek: czy w ogóle jest nam potrzebna reforma oświaty?

— Reforma — nie, ale całkiem nowa szkoła — tak! Dlaczego? Naukowcy wielu krajów stwierdzili, że w czasach niezwykle szybkiego tempa przemian we wszystkich dziedzinach, a więc w naszych czasach — system oświaty funkcjonuje sprawnie przez około 10–15 lat. Utrzymywany dłużej staje się hamulcem postępu. Nasz dział dłużej, bo przecież reforma z 1961 r. była tylko częściowa. Jest to więc system wyeksploatowany, o czym dobrze wiedzą wszyscy, nie wyłączając pańskich czytelników. Jest to system przystający do potrzeb Polski lat 70, ale nieprzystający w stosunku do społeczno-gospodarczych potrzeb przełomu stuleci. A w tej perspektywie musimy patrzeć.

— W czym Pan Minister upatruje główne słabości obecnej szkoły?

— Po pierwsze jest to szkoła pamięci, po drugie obowiązkowe i podstawowe wykształcenie trwające 8 lat jest za krótkie, a po trzecie szkoła szkole nie jest równa, w sensie jakości pracy oczywiście. Jeśli na te zasadnicze mankamenty spojrzeć pan całościowo i zechce je zlikwidować — stwierdzi pan, że retusze nie wystarczą; konieczna okaże się reforma całościowa.

— Czy może Pan Minister wyjaśnić to szerzej?

— Proszę bardzo. Chcemy, by nowa szkoła przygotowywała ludzi przydatnych gospodarce w symbolicznym roku 2000. Wiedza tych ludzi musi być znacznie większa, niż dziś. Musi ją zapewnić szkoła, ale na pewno nie zdoła tego zrobić szkoła pamięci. Bo ludzka pamięć jest wartością constans i nie da się w nią wtłoczyć więcej aniżeli 20 proc. wszystkich otrzymywanych informacji. Potrzebna jest więc kolosalna selekcja. Ale by jej dokonać — trzeba wiedzieć jak. Nowa szkoła ma dać uczniowi wyselekcjonowany fundament wiedzy oraz wyposażać go na przyszłość w umiejętność samodzielnego uczenia się, a więc także selekcjonowania wiadomości.

Równocześnie — nawiązując do trzeciej praktycznej przesłanki reformy — chcemy i musimy zlikwidować oświatowe nierówności. Wiadomo, że absolwent małej wiejskiej szkółki z 2 nauczycielami, nie dorównuje swemu koledze ze szkoły miejskiej. Idąc dalej: maturzysta z przeciętnej — bo są wyjątki — małomiasteczkowej szkoły średniej przewyżnia często w batalii o indeksy ze swym rówieśnikiem ze szkoły wielkomiejskiej. Przyczyną tego zjawiska jest nie tylko nierówny poziom szkół, ale także dysproporcje środowiskowe. A przecież pragniemy, by w szkole wszyscy mieli równe szanse, by nie miejsce urodzenia i edukacji w sensie geograficznym i środowiskowym, lecz indywidualne predyspozycje, chęci i praca każdego ucznia — decydowała o losach młodego Polaka. Stąd obowiązkowa wyrównawcza klasa przedszkolna, stąd zbiorcze szkoły gminne, a w przyszłości silne 10-latki na wsi.

Jeśli teraz zsumuje pan te wszystkie konieczności — zrozumiało stanie się niezbędność reformy treści, którą trzeba ująć w pewne ramy organizacyjne. Z tego co wiem, wątpliwości biorą się stąd, że punktem wyjścia wielu rozważań i ocen reformy jest strona organiza-

cyjna, formalna. A wychodzić należy od treści, bo organizacja jest sprawą wtórną. Mogła przecież być inna, albowiem Raport Ekspertów proponował kilka rozwiązań. Wybraliśmy naszym zdaniem najlepsze.

— Przyszłość naszego szkolnictwa, powodzenie całej reformy rozstrzygnie się na wsi, gdzie mieszka około 60 proc. dzieci w wieku przed-szkolnym i szkolnym. Niestety wiejskie szkolnictwo boryka się z różnymi kłopotami. To niepokoi, zważywszy, iż reforma wystartuje już w 1978 r. ...

— Owszem, nie ukrywamy tego — mamy trudności. Z przyczyn technicznych (brak ludzi i sprzętu) w niektórych regionach kraju nie zrealizowaliśmy programu inwestycyjnego, choć pieniądze na to mieliśmy i mamy. Równocześnie nowy podział administracyjny kraju ujawnił ogromne dysproporcje w sieci szkolnej. Zcentralizowaliśmy więc środki inwestycyjne po to, by

budować tam, gdzie jest to najbardziej potrzebne. W myśl zasady: żeby bogaci nie stawali się coraz bogatsi, a biedni równocześnie nie biednieli. W sumie nie jest jednak tak źle, skoro w 80 proc. gmin są już szkoły zbiorcze.

— Nauczyciele nie garną się do pracy na wsi...

— Niezupełnie bym się z tym zgodził. Młodzi ludzie chcą pracować na wsi, ale muszą mieć gdzie mieszkać. Tymczasem rolnicy nie chcą mieć lokatorów, a magistrowie przybywający z ośrodków akademickich — nie chcą mieszkać byle jak, lecz w warunkach godziwych i samodzielnie. Stąd pewne kłopoty zmuszające nas czasem nawet do przyjmowania — wbrew zasadzie — nauczycieli bez wyższego wykształcenia. Robimy to jednak bardzo rzadko, wyłącznie stając przed wyborem: przejściowo gorszy nauczyciel lub żaden. Domy nauczycielskie wznoszone przy szkołach gminnych oraz ulgi dla budownictwa indywidualnego — rozwiążą to wąskie gardło.

— Przy niewygórowanych nauczycielskich zarobkach budownictwo jednorodzinne nie ma chyba wielkich szans rozwoju?

— Przeciwnie — ma, mimo, iż bynajmniej nie twierdzą, że zarobki nauczycieli osiągnęły optimum. Ale ulgi finansowe są naprawdę kolosalne dla nauczycieli pracujących w miejscowościach do 2000 mieszkańców. Na 80 proc. kosztów budowy przynajmniej nauczycielowi kredyt. Za miesięczną ratę spłaty tego kredytu, dajemy nauczycielowi regularnie ekwiwalent nieco wyższy niż sama rata. W ten sposób po 25 latach spłacania owe nadwyżki wyrównują własny koszt budowy poniesiony przez nauczyciela. Faktycznie więc nauczyciel dostaje dom za darmo. Władze oświatowe mają bowiem obowiązek zapewnić i opłacić nauczycielskie mieszkanie w miejscowości do 2 tys. ludzi. Czy pan uważa, że to są małe ulgi?!



— Od pewnego czasu opinię publiczną interesuje sprawa dowożenia dzieci do szkół gminnych. Niedostatki tej działalności odczuwa i Kielecczyzna, zamieszkała w 60 proc. przez ludność wiejską. Jest to problem, skoro co dzień w całym kraju dojechać musi do szkół około 300 tys. dzieci.

— Ma pan rację, jest to problem. Dowożenia jednak nie unikniemy, gdyż wolimy dziecko dowieźć do dobrej szkoły, niż by miało ono pod ręką szkołę kiepską. Dla likwidacji transportowych trudności potrzeba nam około 4,5 tys. autobusów. W tej chwili taką ilość nie dysponujemy, ale przecież rząd przyjął uchwałę o rozwoju produkcji tego typu pojazdów. Jej pozytywne skutki odczujemy już wkrótce.

Wiem, że są osoby, krytykujące w ogóle fakt dowożenia dzieci do szkół, twierdzące, że pewniejsze są nogi. Otóż niezupełnie. Czy pan wie, że przed wprowadzeniem zbiorczości w okresie grudzień—marzec frekwencja w szkołach wiejskich wynosiła około 50 proc., a ubiegłej zimy, przy całym tym szwankującym dowożeniu — wzrosła do 85 proc.?

A skoro już w ogóle mówimy o dowożeniu, to wielkim problemem są dla nas wsie, leżące w południowo-wschodniej Polsce; tam, gdzie jak spadnie śnieg — żaden pojazd poza „bo-nanzą” na sankach nie dojedzie. W tych regionach nie wystarczy mieć autobusy, musi także powstać sieć dróg bitych, a to dłuższa sprawa. Liczymy jednak w tej dziedzinie na inicjatywy społeczności lokalnych.

— Wspomniał Pan Minister na początku, że nowa szkoła ma uczyć jak uczyć się, czyli ma wpajać młodzieży zasady i metody samokształcenia. Czy aby nasi nauczyciele podążają temu zupełnie nowemu zadaniu?

— Znając ich nie małe zdolności, ofiarności i chęć do pracy — wierzę, że tak. My, jako administracja szkolna musimy im jednak stworzyć odpowiednie warunki. Podstawowym są kwalifikacje. W roku szkolnym 1973/74 mieliśmy około 17 proc. nauczycieli z wyższym wykształceniem, a w 3 lata później — już ponad dwukrotnie więcej. A przecież poczynając od naj-



blizszego lata, co roku przez 8 lat 20 tys. pracujących nauczycieli opuszczając będzie wyższe uczelnie z dyplomami magisterskimi. W sumie, w momencie, gdy zbiorczą szkołę gminną przekształci się w 10-latkę w zasadzie wszyscy nauczyciele będą mieli wykształcenie akademickie. Uczelnie zaś nie tylko podnoszą fachowe kwalifikacje nauczycieli, ale także przygotowują ich do nowej dydaktyki.

— Ale najlepszy nawet nauczyciel nie wystarczy; niezbędni są mu sojusznicy w postaci odpowiednich programów i podręczników. Wielka chwała Ministerstwu Oświaty i Wychowania za poddanie projektów programów pod publiczną dyskusję („Przemiany” także zabierały w niej głos), ale przecież społeczeństwo tych programów nie... przechwaliło.

— Nie ma potrzeby wyrażać się eufemistycznie. Krytyka była ostra, ale odpowiedzialna, więc osobiście jestem z niej bardzo zadowolony. Zaangażowani ludzie to bezcenni sojusznicy. Programy są teraz w trakcie przepracowywania, co potrwa czas jakiś, gdyż skrupulatnie analizujemy każdy głos w dyskusji: fachowca i niefachowca. Na pewno ostateczne programy będą lepsze, niż ogłoszone w 1976 r. projekty; wierzę, że będą to programy naprawdę dobre.

— Co to znaczy „dobre”?

— Mówiąc ogólnie — optymalne. Widzi pan, wiodącą rolę przy układaniu programów odgrywają ludzie nauki, specjaliści, mający rzecz jasną emocjonalny stosunek do uprawianych dyscyplin. Chcą więc obecność „swoich” przedmiotów jak najsilniej zaakcentować w programie całości. I tu jest szkopuł, bo w dzisiejszych czasach istnieje pewna antynomia między nauką a oświatą. To tylko brzmi jak paradoks, ale jest prawdą. W nauce występuje tendencja do zawężania i pogłębiania wiedzy, a szkoła musi przekazać scalony obraz świata. Gdyby chcieć oba te punkty widzenia połączyć — tydzień pracy ucznia wynosiłby ponad 60 godzin. A zdaniem lekarzy, psychologów i pedagogów nie powinien przekraczać 30–32 godzin. Selekcja więc być musi i najcenniejszym bodaj owocem programowej dyskusji było ukazanie lepszych jej kierunków. Ta, której dokonano nie znalazła bowiem pełnego uznania w oczach społeczeństwa.

— W naszych szkołach pracować więc będą wysoko kwalifikowani nauczyciele, kształcący w myśl dobrych programów. Czy młodzież korzystając będzie nadal z obecnych — podręczników?

— Z obecnych — na pewno nie. Nowe będą inne i lepsze, ale czy będą dobre?... Trudno przewidzieć, choć chciałoby się powiedzieć, że muszą być dobre. Nie jest jednak tak łatwo pozyskać autorów podręczników szkolnych; od lat przecież są z tym problemy. Ale tak, jak przy ocenie programów chcemy i w tej sprawie uciec się do pomocy społeczeństwa. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne ogłaszają mianowicie ogólnopolski konkurs na podręczniki dla 10-latki. Może do niego stanąć każdy kompetentny obywatel i dobrany zespół autorów. Myślę, że płon konkursu będzie bogaty. W ten sposób wielki udział w realizacji nowej szkoły będą mieli wszyscy Polacy.

— Dziękujemy panu ministrowi za rozmowę.

Rozmawiał:  
TOMASZ JEZIORAŃSKI

□□□□□□□□□□

KOMENTARZ

□□□□□□□□□□

## Refleksje z lektury

Andrzej Maślankiewicz

**T**reści VII Plenum KC PZPR dawno dotarły do polskiego społeczeństwa i stały się kanwą żywiołowej, pożytecznej dyskusji. Do terenowych organizacji trafiły również Tezy VII Plenum KC, zawierające zadania partii w pogłębianiu socjalistycznej świadomości i patriotycznej jedności narodu. Jest to dokument traktujący o ważkich sprawach Polaków, mówiący o wielu naszych narodowych dokonaniach i problemach do załatwienia w niedalekiej przyszłości. Lektura Tez VII Plenum zmusza do przemyśleń i budzi liczne, jakże pouczające refleksje. Wynika to głównie z faktu, że sprawy poruszane na plenarnym posiedzeniu KC są bliskie wszystkim członkom partii i całemu narodowi. Nie ma wśród nich takich, które nie posiadałyby praktycznego społecznego rezonansu, nie były związane z praktyką budownictwa socjalizmu w naszym kraju.

Każde z postanowień wyraża stanowisko partii w określonej ważnej sprawie, wskazuje drogi rozwiązywania trudnych problemów, jest rozwinięciem ideowych motywacji mobilizujących do realizacji nakreślonych przez partię zadań.

I chociaż są to sprawy które począwszy od VI Zjazdu podejmowane były w działalności partii w sposób coraz szerszy i pełniejszy, chociaż na kolejnych plenarnych posiedzeniach Komitetu Centralnego od 1972 roku począwszy wzbogacane były o nowe treści — to trzeba podkreślić, że na VII Plenum, w kwietniu 1977 roku, tak wyraźnie i zdecydowanie podporządkowano problemy ekonomiczne treściom ideologicznym. W stwierdzeniu, że praca ideowo-wychowawcza jest ważnym czynnikiem realizacji strategii społeczno-gospodarczego rozwoju — zawarte zostało naczelné zadanie dla całego narodu i dla każdego obywatela naszego kraju osobno. Chodzi tu głównie o tworzenie klimatu politycznego, sprzyjającego wykonywaniu zadań społeczno-gospodarczych, kształtowanie aktywnych postaw obywatelskich zaangażowanych w realizację socjalistycznych przeobrażeń w naszym kraju. Słowem sprowadza się to do problemu znanego nie od dziś, a zwanego przyspieszaniem przeobrażeń w świadomości społecznej.

Teza o wpływie stanu świadomości społecznej na charakter i tempo socjalistycznych przeobrażeń nie jest sama w sobie niczym nowym. Jednakże na etapie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego nabiera nowego rozmiaru.

Złożoność procesów społecznych, skomplikowany mechanizm gospodarczy, nowoczesne rozwiązania technologiczne i organizacyjne, uwarunkowania w sytuacji międzynarodowej powodują iż stan świadomości społecznej, nie odpowiadający poziomem wymagań współczesności — jawi się jako bariera rozwoju i postępu.

**P**olska jest krajem nowoczesnego potencjału gospodarczego, gwarantującego szybki postęp i rozwój. Trzeba ten potencjał w pełni wykorzystać. I tu kolejna refleksja:

jak można optymalnie wykorzystać nowoczesny park maszynowy bez właściwego zapewnienia poziomu kultury technicznej i organizacyjnej, bez niezbędnej wiedzy na temat społecznych, ekonomicznych i politycznych procesów zachodzących w państwie socjalistycznym, bez kultury politycznej. Liczba tych pytań może być znacznie większa. Nie w pytaniach jednakże sedno sprawy. Chociaż prowadzą one do następnego stwierdzenia, iż ambitne, na miarę naszej epoki i naszego ustroju cele społeczno-gospodarczego rozwoju kraju nakreślone przez partię mogą być zrealizowane tylko przy pełnym integrowaniu całego społeczeństwa wokół partii i jej polityki, przy całkowitym, twórczym zaangażowaniu wszystkich ludzi pracy w ich realizację.

Jesteśmy narodem ludzi wykształconych, ambitnych i pracowitych, gotowych do największych poświęceń — a więc ofiarnych także. Z tych stwierdzeń wniosek więc prosty, że większość obywateli naszego kraju legitymuje się świadomością społeczną odpowiadającą kryteriom etapu budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Ale istnieje także odłam społeczeństwa wśród którego dominują postawy drobniomieszczańskie, godne sprawy rozpatruje się wyłącznie przez pryzmat wartości materialnych, gdzie większość wysiłku intelektualnego sprowadza się do poszukiwań w zakresie największych zysków od społeczeństwa, przy najmniejszych kosztach własnych. Wśród tych jednostek dominują „kibice”, asekuranci, konformiści. Ludzie o dwóch twarzach, bez charakteru i ambicji. Oni nie są przeciwko socjalizmowi. Przecież znamy ich na co dzień. Im się bardzo dobrze żyje przy socjalizmie. Bez wysiłku, najczęściej kosztem innych.

**W** Tezach VII Plenum KC jest także między innymi mowa o zwalczaniu negatywnych zjawisk. Ci ludzie o których wspominałem są takim negatywem naszego życia społeczno-gospodarczego. Nie zależnie od intencji i deklaracji stanowią poważny ciężar społeczny, ciągnący wstecz nasze zamierzenia i ambicje. Nie można wykluczyć, że oni właśnie stanowią źródło rodzącego się łapówkarstwa, partycularyzmu, braku dyscypliny społecznej.

Przed całym naszym narodem wiele poważnych zadań na najbliższe lata. Program budownictwa mieszkaniowego do zrealizowania, zaopatrzenie rynku wewnętrznego — do zróżnicowania, produkcja eksportowa — do powiększenia (przy pełnej racjonalizacji importu), jakości produkcji — do podniesienia.

Trzeba jedności działań i przekonań aby tym zadaniom sprostać. Im mniej będzie takich, którzy stoją z boku i kibicują, którzy nie potrafią myśleć kategoriami państwa i narodu — tym szybciej i łatwiej zrealizujemy nasze narodowe zamierzenia.

**C**zerwiec tradycyjnie rozpoczyna się Dniem Dziecka, a przy tym pamiętać trzeba, że rok 1977 ogłoszony został Międzynarodowym Rokiem Dziecka. Stąd interesujący reportaż Zbigniewa Nosala pt. „KAK O NA ŚNIADANIE”, w którym autor pisze o dzieciach w tonie dalekim od sentymentalno-lirycznego. Zwracamy też uwagę na fotogramy znanego kieleckiego fotoreportera Andrzeja Pęczalskiego, poświęcone naszym milusińskim.

Po VII plenum KC PZPR odbyła się sesja naukowa w kieleckiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Jej odbicie znajdują czytelnicy w mate-

**POLECAMY**

riałe Bogustawa Morawskiego pt. „POGLĄDY I POSTAWY”. Natomiast doc. dr Jan Naumiuk publikuje pierwszą część swojej pracy na temat literatury społeczno-politycznej Kielecczynny Doc. dr Stanisław Lipka z kieleckiej WSP ogłasza szkic pt. „JAK WYŻYWIĆ LUDNOŚĆ?”, którego

tematyka z pewnością zainteresuje każdego.

Wśród reportaży zwracamy uwagę na tekst Stanisława Fornala pt. „PRZED „FIATEM” BYŁ „AS”, o przedwojennej produkcji samochodów w... Szydłowcu. Marek Darnas w reportażu pt. „U WIELKIEGO KURKUMASA” pisze o kieleckich fachowcach pracujących na Bliskim Wschodzie Bogustaw Rajchert w „ODTWORZENIACH” wraca do zagadkowych spraw sprzed kilku lat. Przed studenckimi praktykami wakacyjnymi polecamy lekturę artykułu Leszka Kumańskiego z kieleckiej WSP („UCZYĆ CWANIACTWA, CZY DOBREJ ROBOTY?”).

REDAKTOR



Uśmiechnięte, zadbane dziecko w niebieskiej bluzeczce, trzyma oburącz szklaną filiżankę. W naczyniu kakao. Reklamowy blondas z puszki „Choco – expres” (cena: czterdzieści dwa złote), je śniadanie. Samo szczęście. Śmieje się, czysty, rozbawiony i pewnie zdrowy. To widać.

Takie je właśnie bardzo lubimy oglądać, nasze dzieci. Na co dzień i od święta. Zwłaszcza od święta. Wtedy, mówią, niezręcznie, nawet wręcz nie wypada wspominać o płaczących i zasmakanych, złych, brudnych i niedożywionych. Być może. Więcej przecież mamy szczęśliwych. Jak to z „Choco – expres”. Nie pamiętam tylko, kiedy puszka weszła mi w oczy i pamięć, czy przy miechowskiej historii, w Kielcach, czy gdzieś na wsi, gdzie często bywam obserwując dzieci?

Mógł być Miechów. Rano, właśnie pora śniadania. W Rejonowym Zarządzie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci dzwoni telefon. Jakaś nie chcą podać swego nazwiska pani informuje, że w domu przy takiej i takiej ulicy – adresów i niektó-

w kacie szmaty na podłodze, tworzące legowisko, na którym śpi siedmioro dzieci. Ojca nie ma, jest operatorem dźwigu, wyjechał. Matki nie ma, wyszła do znajomych, ale wiem, że ją także już – u-męczoną – niewiele to wszystko obchodzi. Dzieci w domu tylko

także mądrością swoich rozmówców, więc się zgadza.

Dom. Dom najważniejszy, ale gdy w domu nikogo, bo rodzice pracują, albo któregoś z nich nie ma w ogóle, lub odeszło i zapomniało, albo oboje są i zapomnieli, pozostaje świetlica, gdzie jada się obiady, bawi i odrabia domowe zadania.

Świetlica pani Szalewskiej mieści się na parterze trzypiętrowego, mieszkalnego domu, gdzieś na końcu Kielc, przy spokojnej ulicy. Codziennie, w godzinach od jedenastej do siedemnastej, przychodzi tu zjeść obiad i przeczekać, przeżyć w grupie, siedemdziesięcioro dzieci, synowie i córki adwokatów, lekarzy, i urzędników, którzy opłacają stawę i pobyt, córki i synowie tych, którzy odeszli i matki nie mają czym płacić, dzieci chorych na alkoholizm. Dobrze, ładne, grzeczne i szczęśliwe, obok mniej ładnych i grzecznych, mniej dobrych i szczęśliwych skoro prawie trzydziestka pozostaje pod opieką sądu, bo albo coś same przeskro-

Mieć wszystko, mieć dużo i dać dzieciom, niech inne widzą, niech się wstydzą. Gdyby tylko wstyd, a jeżeli jeszcze gorzej? W Miechowie czternastolatek włamał się do sklepu, skradł zegarek, żeby także mieć, jak inni, żeby się nie odróżniać. Jego ojciec dobrze zarabiał, chyba w Hucie „Katowice”, matka urzędniczką wysokiej grupy, zadowolony się – zaspokoją materialne potrzeby. A jednak...

– Nieprawda, dzieci są dobre – powiada Szalewska. – Wiem, że dobre. Dostałam na moją letnią kolonię w górach, Leszka. Miał na wakacje urlop z zakładu poprawczego i stamtąd straszną opinię: pije, pali, rozrabia, nie słucha. Przejechaliśmy autobusem parę kilometrów, dzieci wyciągają kanapki, owoce, słodycze, zaczynają jeść. Patrzę – Leszek nie ma nic, wygląda niby obojętnie przez okno. Poczęstowałam go, zagadałam. Na miejscu tylko ten jeden bardzo niegrzeczny zaofiarował mi pomoc. Wziął moją walizkę. Potem, gdy wybieraliśmy samorząd obozowy, wymyśliłam i dla niego funkcję, bo to zwykle pomaga.



# Kakao na śniadanie

Zbigniew Nosal

rych nazwisk, tu ani dalej nie będzie, zaś szczegóły, dla dobra dzieci, zostały zmienione – mieszka samotna, młoda kobieta z trójką malców, którzy głodują. Pani Zofia K-deja, kierowniczką, organizuje natychmiast wizytację.

Zgadza się. Jest ten blok i ciemne, jednopokojowe mieszkanie. Ciemne, bo w kuchni w ogóle nie ma okna, a przez szyby w pokoju mało widać, zabrudzone. Po kątach bieda piszcz. Matka, dwudziestoosmioletnia kobieta nigdzie nie pracuje, utrzymuje siebie i trzech synów z alimentów. Dużo powiedziane. Na dwóch młodszych dostaje osiemset złotych miesięcznie, ojciec sześciolatniego – zapomniany. Najmłodszy ma sześć miesięcy, leży w becie, jeszcze nie próbuje siadać. Nie może, słaby. Potrzebna natychmiastowa pomoc.

Natychmiast trwa trzy dni, podczas których dwóch młodszych umieszczono w żłobku, starszego w przedszkolu, a matkę znaleziono pracę i kupiono wózek dla bliźniaków, żeby miała czym odwozić dzieci do odległego żłobka.

Chyba to jednak nie Miechów, raczej Kielce. Ostatnie, dziesiąte piętro wieżowca i także pokój z kuchnią oraz łazienką, w której – jak w kuchni zlew – brak wanny. Tatuś sprzedał na wódkę. Wszystkie sprzęty domowe to stół na trzech nogach oparty o ścianę, jakaś chybotałwa, biurowa szafa i

sypialnia, obiady jedzą w środowiskowej świetlicy prowadzonej przez TPD, gdzie młodsze siedzą prawie cały dzień, bo starsze chodzą do szkoły.

„Choco – expres”.

Nie, to nie tutaj, ani też nie w tamtej podracławickiej wsi w przewalającym się na bok domku, gdzie wejście do izby zastanawia drzwi zdjęte, czy też urwane z zawiasów. Tam było dość ciemno i trudno puszkę zobaczyć. Widać tylko było coś w rodzaju hamaka, zastępującego normalne łóżko i oświetlony naftową lampą stół. Na jednym jego końcu dziewczynka pisała coś w zeszytach, odrabiała lekcje, na drugim znajomi mamy rzępli w karty.

Wszystko dobre i złe w ich życiu, zaczyna się w domu, zależy od rodziców – powiada Krystyna Szalewska, sympatyczna brunetka, co zresztą nie jest głównym powodem, żeby nie zaprzeczać. Ona naprawdę wie. Siedem lat prowadzi już środowiskową świetlicę na peryferiach, poznała dokładnie warunki życia swoich podopiecznych, niezależnie czy są dziećmi lekarzy, czy robotników, ludzi statecznych, bądź niepoohamowanych, porządnymi i odwrotnie, mogła więc dokonać ocen i porównań, sądów, a reporter jest podobno mądry

bały, albo ograniczono nad nimi władzę ich rodziców. Mają tu drugi, niektórzy nawet pierwszy dom, dobrą, serdeczną opiekę. Są u siebie. Wszyscy, bez różnic. Mają miejsce przy stole, mają miejsce do nauki i zabawy, mogą liczyć na pomoc w kłopotach.

Zdarzyło się, Robert przestał nagle chodzić do szkoły. Jeden tydzień, drugi tydzień – wagaruje. Pani Szalewska dowiedziała się o tym od kolegów, od nauczycielek zresztą także. One wiedzą – nie ma go w szkole, na obiad przyjdzie, w domu ośmioro, ojciec pracuje dorywczo, co zarobi przepije, matka nie lepsza, to chłodno i głodno. Zadzwoniły.

Wyszło, że dzieciak wstydził się chodzić do szkoły w obszarpanym ubraniu i podartych tenisówkach. Sam tego nie powiedział, ale gdy Szalewska poszła z nim do sklepu, kupiła nowe buty i ubranie, zaczął do szkoły chodzić, poprawił stopnie.

Jak na to wpadła? To widać, to się wie. Oni nie tylko przez los skrzywdzeni, przez rodziców, wśród rówieśników też nie mają przyjaciół, bo to właśnie oni dobrze ubrani, ani pieniędzy na lody. Takich inne dzieci, które wszystko mają, nie lubią. Nie chcą.

Jakiż to był dobry, obowiązkowy chłopak. Jak dbał o wszystko, jak się całym obozem interesował. Nie rozrabiał, nie pił. Palił, mówił, że nie umie się odzwyczaić, ale będzie to robił tak, aby nikt nie widział. Machnęłam ręką, miał sześćnaście lat. Zwierał się. Nienawidził ojczyma, najmniejsze zło jakie mu tamten wyrządził polegało na odmowie chleba. Leszek jadł, gdy on wychodził, gdy nie było go w domu. Mówił: lepiej, że jestem w zakładzie. Pan słyszy: lepiej! Tutaj też, oglądając się, czy nikt nie widzi, upychają chleb po kieszeniach. Nie kradną, biorą, to ich dom, nasz.

Dewiza Krystyny Szalewskiej: dać dziecku, pomóc, okazać serdeczność i zaufanie. Nie zdradzić.

Pani Krystyna jest z wykształcenia historykiem, pisze własnie pracę magisterską – monografię Tumlina, ale stąd, że świetlicy nie o-dejdzie. Ma wrażenie, że wszystko mogło być bez niej runąć, że nie miałby kto zastąpić matek jej świetlicowym, szczęśliwym i nie-szczęśliwym, ale zawsze dobrym dzieciom, i ma rację.

„Choco – expres”? Ależ tak, wiem, przypomniałem sobie. Wzdziałem to pudełko w rękach znajomego urzędnika, trzyma w nim cukier do popijanej w biurze herbatki. On nie ma dzieci.



**Walka o pokój, utrwalanie przyjaźni między narodami; pojęcia te w naszych warunkach społecznych stały się czymś bardzo oczywistym, jednoznacznym. Pominię więc koszyk problemów związanych z różnymi formami aktywności**

**szczebla najwyższego w tej dziedzinie, natomiast garścią informacji zilustrują proces umacniania się struktur pokojowej egzystencji ludzi poprzez kontakty, wzajemną pomoc i przyjaźnie — w płaszczyźnie regionu, miasta, zakładu pracy.**

Niewątpliwie najlepiej to wygląda w sytuacji, gdy partnerami są instytucje, organizacje krajów socjalistycznych. Dobrze znana jest wieloletnia przyjaźń między Kielcami a ukraińską Winnicą; poświęciłem temu niedawno osobny artykuł. Trudniejsza bywa sprawa, jeśli owe partnerskie porozumienia zakłóca fakt przynależności do różnych światów: starego i nowego. Ale wówczas każda, nawet drobna życzliwość, przyjazny gest, mają walor rzeczywistego sukcesu. Tak na przykład w latach sześćdziesiątych Kielce nawiązały współpracę z włoskim miastem Werona. Zanośnię się na trwałą, serdeczną przyjaźń. Kieleckie środowisko plastyków eksponowało tam swoje prace, nasza delegacja była serdecznie witana przez Włochów. Były ładne programy. I chyba wiem dlaczego tak łatwo przyszło z tą przyjaźnią; we władzach municypalnych Werony zasiadali komuniści, działacze lewicowi. Wszystko zaczęło się rwać, po dojściu do głosu prawicy. Podobny los spotkał kontakty Kielc z holenderskim Haarlemem. I jeszcze jeden przykład: od dwudziestu lat trwa przyjaźń Ostrowca z francuskim Gennevilliers. Jest to miasto tej samej wielkości co polski partner, o podobnym profilu działalności gospodarczej. — Jesteśmy zadowoleni z owych kontaktów, które układają się z korzyścią dla obu stron — informuje mgr Jan Ślusarz, naczelnik Ostrowca. — Niemal co roku delegacje odwiedzają się wzajemnie. Nas interesuje ostatnio ich budownictwo mieszkaniowe, oni studiują rozwiązania socjalne w naszym mieście. Wyrażają uznanie dla polskich zdobyczy socjalnych. W tym roku pragniemy wysłać do Gennevilliers grupę działaczy szkolnej, zaś w Górach Świętokrzyskich spędzą wakacje młodzi Francuzi.

Naczelnik opowiedział mi o bogatym programie współpracy w różnych dziedzinach życia gospodarczego i społecznego. No tak, ale przy władzy w Gennevilliers są komuniści. Stąd łatwość o sympatie i wzajemne zrozumienie.

Jak już wspominałem, najłatwiej o przyjaźń i partnerstwo wśród krajów socjalistycznych. Rozwijają się różne formy współpracy w układzie województw. Kieleccyzna współpracuje z ukraińskim obwodem winnickim, od dwóch dziesiątków lat. Tu kontakty są najwyższe. Podobnie serdecznie kształtuje się pobratymstwo województwa radomskiego z okresem Magdeburga. Skarżysko znalazło sobie życzliwego partnera w Burgu. Jest to miasteczko nad kanałem Łaba — Hawela. Rozmawiałem na ów temat z zastępcą naczelnika inż. Robertem Pufalem. Jego zdaniem, szczególnie ożywione kontakty obserwuje na polu sportowym, krajowznawczym, co wcale nie przeszkadza im aktywizować współpracę w innych dziedzinach. Trwa to od trzech lat; świeże doświadczenia. Trudno więc mówić o jakimś dorobku. Młodzi z Burga interesują się najwięcej ośrodkami sportu i rekreacji w Skarżysku. Stawiają na rozwój sportów wodnych. Oczarowało ich malownicze położenie Skarżyska w masywie leśnym, a zwłaszcza piękny zalew w środku miasta. I nie tylko ich ciągnie do skarżyskiego akwenu. W tym roku przyjeżdża do Skarżyska kilkuset młodych wodniaków z siedmiu krajów socjalistycznych. Wezmą udział w imprezie pt. Młodzieżowe Regaty Przyjaźni. Sport jest dobrą płaszczyzną, na której można umacniać kontakty z przyjaciółmi innych krajów, nawet z obozów przeciwnych.

O co w tej sprawie chodzi? Przede wszystkim o to, aby przyjaźń nie była podporządkowana sztucznie. W sposób wymuszony. I żeby partnerzy byli odpowiednio dobrani. W przeszłości działało się pod tym względem różnie. Dajmy na to Starachowice. Próbowano współpracy ze Stassfurt, dwukrotnie mniejszym miasteczkiem niż partner z nad Kamiennej. Ot, stareńka osada, typu Opatowa, Rzy. Stassfurt dorabia się na kopalnictwie soli potasowej,

rozwoja przemysł chemiczny. Starachowice — jak wiadomo — stawiają na przemysł motoryzacyjny. To przyszłość i nadzieja Starachowic. — Odpowiadałaby nam raczej współpraca z ośrodkami przemysłu właśnie motoryzacyjnego — mówi mgr Andrzej Nowak, zastępca naczelnika Starachowic. — Powiedzmy z Młoda Bolesław na ziemi czeskiej, ośrodkiem słynącym z dynamicznie rozwijającego się przemysłu samochodowego. Ewentualnie z innymi ośrodkami o podobnym profilu przemysłowym. Mielibyśmy większą płaszczyznę wymiany doświadczeń, współpracy.

Niewątpliwie mgr Nowak ma rację. Podobnie jak prezydent mgr Tadeusz Karwicki który informuje: — Radom współpracował

## Bliźniaki

Stanisław Rams

ze szwedzkim zespołem gmin Karshamn. Jest to miejscowość kilkakrotnie mniejsza od naszego miasta, o specyfice osady nadmorskiej. Rybołówstwo, działalność lotniczą. Te problemy są nam raczej obce. Odnoszę wrażenie, że jest to współpraca trochę sztuczna, naciągana. Niewiele mamy sobie do powiedzenia. Nie wypracowaliśmy dotąd modelu kontaktów z miastami krajów, gdzie rządzi kapital.

Podobne uwagi słyszałem w innych miastach, zakładach pracy. I na pewno trzeba się zgodzić taką sugestią: szukać przyjaźni, ale jej nie narzucać. Wyciągać przyjaźnia dłoń tam, gdzie znajdziemy zrozumienie i wzajemność. Dotyczy to zwłaszcza środowisk polonijnych różnych krajów, nie tylko europejskich. Miliony rodaków żyją w dalekim świecie. Sa miejscowości na obcej ziemi, silnie spolonizowane, gdzie we władzach miejskich zasiadają właśnie Polacy lub ich sympatycy. Mają wpływ na społeczność swoich przybranych grodów. Te środowiska wykazują emocjonalne więzi ze Starym Krajem, szukają form kontaktów z miejscowościami, skąd ich ród. Wyjdźmy tym wysiłkom na spotkanie. Tym bardziej, że niedługo Kieleccyzna była regionem, gdzie emigracja stanowiła społeczne zjawisko wyróżniające się w kraju. I słusznie Kielce czynią starania, aby owe kontakty z Polonią nawiązać i rozwijać. Były np. prowadzone kursy dla Polonii z kontynentu amerykańskiego. Swego czasu nawiązano współpracę kulturalną z Polonią belgijską, nawiązałem mówiąc z inicjatywy kieleckiej swojaka, Andrzeja Janikowskiego, polskiego konsula w tym kraju. W wyniku współpracy powstał pomnik upamiętniający 500-lecie narodzin Mikołaja Kopernika. Stał w Brukseli, przy gmachu planetarium. Autorką była Ludwika Nitschowa, zaś konstruktorem kielczanin Zygmunt Kaczor. Z tamtejszej Polonii gościliśmy zespół pieśni i tańca „Orzeł” — nasza kielecka delegacja była w odwiedzinach. Ciekawe to inicjatywy i warto je kontynuować. Mamy już niemały dorobek niemal we wszystkich dziedzinach: ekonomicznego, społecznego i kulturalnego życia; warto tym dorobkiem się pochwalić przed gośćmi z zagranicy. Jest to rodzaj polityki, której uprawianie nikogo na ogół nie razi.

Nie mniejszą wymowę polityczną, nie wspominając już o innych wartościach, miałaby współpraca z krajami Trzeciego Świata. Z krajami, które nie tak dawno zrzuciły kolonializm i wciąż szukają właściwej drogi rozwoju. Algieria, Mozambik, Angola, Etiopia, niektóre

kraje latynoskie, azjatyckie. Byłoby wielce pożyteczne, aby osiągnąć pewien postęp w nawiązaniu ściślejszych kontaktów między naszą piękną Kieleccyzną, a tego rodzaju egzotycznymi partnerami. Czy to jest w ogóle możliwe, biorąc pod uwagę odległości, koszty podróży, specyfikę gospodarstwa Trzeciego świata? Chyba tak. Zresztą nie narzucamy sobie zbyt ambitnego programu. Trzeba działać, chociaż niejednokrotnie musielibyśmy występować z pozwolą starszego, bogatszego brata. Trzeba jednak działać, powtarzam, również na szczeblu regionu, miasta, szkoły, zakładu pracy. Stawiajmy w regionie małe kroczki, jeśli nas nie stać na większe. Niezbędna jest bowiem strategia drobnych dowodów przyjaźni, pamięci, solidarności, życzliwych gestów.

To prawda, że władze niedużych miast muszą uważnie gospodarować skąpym budżetem. Często brakuje środków na wystanie w daleką podróż nie tylko stuosobowej orkiestry zespołu pieśni i tańca, ale nawet skromnej liczebnej delegacji. Czemu jednak nie praktykować bezdewizowej turystyki? Wygląda to prosto: zaprzyjaźnione (korespondencją) rodziny wzajemnie zapraszają się na urlopy, krótsze odwiedziny. Noclegi, wyżywienie, zwiedzanie okolicy — na koszt pana domu. W następnym roku — na podobnych zasadach, rewolucja. Podróż funduje nam zakład pracy (grupowy wyjazd!), który utrzymuje kontakty gospodarcze, handlowe z danym miastem zagranicznym. Wystarczy zakładowy autokar, wydatki na benzynę można byłoby pokryć z własnych kieszeni. Łatwe, prawda? Taką formę współpracy stosują np. esperantyści w wielu krajach.

Idea rozwoju przyjacielskich stosunków między bliźniaczymi miastami jest korzystna dla partnerów, jak również w szerszym aspekcie — utrwalania struktury pokoju na świecie. Z inspiracji ONZ, w 1957 roku powstała Światowa Federacja Miast Bliźniaczych. W kwietniu br. obchodziła ona okrągły jubileusz — dwudziestą rocznicę narodzin. Członkami tej światowej organizacji jest ponad 900 miast z kilkudziesięciu krajów. W deklaracji podkreślono główne cele: popranie zrozumienia i współpracy między narodami, niezależnie od różnic rasowych, politycznych i religijnych, drogą rozwijania i zacieśniania kontaktów między miastami. A więc wymiana delegacji, doświadczeń w sferze gospodarki miejskiej, kultury, sportu; spotkania środowiskowe, urządzanie różnorodnych konferencji. Ostatnia niedziela kwietnia każdego roku jest obchodzona jako Dzień Miast Bliźniaczych.

Trwa zatem proces wykształcania się organizacyjnych form pokojowej współpracy. Na regionalnym szczeblu daje się odczuć brak wyspecjalizowanego centrum, które by w jakiś sposób koordynowało, inspirowało różne formy współpracy z zagranicą. Istnieje propozycja powołania do życia Klubu Przyjaźni, który by właśnie takie funkcje spełniał. Ponieważ istotną rolę pełniłoby TPFR, zatem na ów związek spadłby główny ciężar troski o sprawne funkcjonowanie tej placówki. Dobrze byłoby, aby ów Klub był wyposażony w bibliotekę, czytelnię prasy obcej, płytoteke, taśmoteke, w materiały propagandowe, krajoznawcze. Przydałaby się jakaś sala przyjęć zagranicznych delegacji, pomieszczenie do wyświetlania filmów, przeźroczki, sala spotkań i odczytów. A wprost niezbędne byłoby nowoczesnie urządzone studium języków obcych. Tak właśnie ośrodek marzy się m.in. kierownikowi wydziału kultury i sztuki Urzędu Miejskiego w Kielcach mgr Ryszardowi Miernikowi. A inspektor szkolny tegoż Urzędu mgr Bolesław Wrzosek podsuwa arcystuszną myśl, że finansowanie owej placówki mogłoby być wspólnym dziełem różnych organizacji, związków i instytucji turystycznych, a także co bogatszych zakładów pracy. Bo Klub Przyjaźni służyłby wszystkim.



**Uczestnictwo Kielecczyny w dziele motoryzacji Polski nie zaczęło się w latach czterdziestych w Starachowicach, lecz w latach dwudziestych w Szydłowcu — w tutejszej Fabryce Bryczek i Karoserii Samochodowych Braci Węgrzeckich.**

**Było ich czterech. Kazimierz, Wacław i Ryszard już nie żyją. Ostatni, najmłodszy — Stefan ma lat 88. Mieszka wraz z małżonką, panią, Anną, w jednym z bloków przy ul. Radomskiej w Szydłowcu.**

**Korzystam z gościnności tego domu. Słucham opowieści o bogatych dziejach firmy, poczynając od genealogii jej założycieli.**

### Rodowód po kądzieli

Pradziadek Stefana Węgrzeckiego ze strony matki nazywał się Wagner. Był Niemcem, jednym z trzech inżynierów górników, sprowadzonych z Saksonii do Mostek koło Parszowa. Pracowali przy wydobywaniu rury. Po wydrążeniu nowego szybu, odbywał się próbny zjazd windy. Szukano ochotnika. Zgłosił się inż. Wagner. Winda się urwała — ochotnik stracił życie. Jego pamięć uczyła nazwa wsi — Wagnerówka. Został po nim syn. Przez wiele lat był naczelnikiem górnictwa w Suchedniowie. Wyznanie swych przodków zachował — pozostał ewangelikiem, patriotą czuł się już wyłącznie polskim.

W 1863 r. założył warsztat w Mostkach i kui kosa dla powstańców. Kiedyś w przebraniu chłopskim zawiózł cały drabiniasty wóz tych kos do Radomia. Rodzina dziadka dowoziła też dla walczących pieczywo do Wąchocka. Ciotka Kalinkowska z dumą zanotowała w swoim pamiętniku, że tymi rodzinnymi wypiekami zajadał się sam gen. Langiewicz. W tymże pamiętniku widnieje wzmianka o pewnym niezwykle eleganckim oficerze rosyjskim, który przyłączył się do powstańców, kwaterował w Mostkach, a potem poległ w potyczce z Kozakami.

### Rodowód po mieczu

Powszechnie znanym protoplastą rodu Węgrzeckich był Stanisław Węgrzecki — pierwszy prezydent miasta stołecznego Warszawy w czasach Księstwa Warszawskiego. Zdobył sobie wielki mir u rodaków, czego dowodem i skutkiem było powtórne powierzenie mu prezydentury stolicy podczas Powstania Listopadowego.

### Rodowód firmy

Ojciec czterech braci zaczynał swą żywotną karierę jako administrator rolny — najpierw w Konarach w Sandomierskiem, po-

# Przed „Fiatem” był „As”

Stanisław Fornal

tem w Łomnie i jeszcze gdzieś tam. Następnie przeniósł się do Skarżyska i handlował drewnem.

— „Kiedy się zestarzał i nie mógł pracować — wspomina pan Stefan — a myśmy podorastali, założyliśmy w 1905 r. Firmę „Bracia Węgrzeccy”, jako Dom Przemysłowo-Handlowy. Zaczęliśmy eksploatować gliny w Parszowie, zbudowaliśmy stąd do Skarżyska, do Ekonomii kolejkę. Szło nam nawet dobrze, ale później zjadła nas konkurencja. Trzeba było związać interes, zniszczyć 9 km kolejki. Cośmy zarobili, tośmy wszystko stracili.

Przerzuciliśmy się na narzędzia rolnicze. Ponieważ ja przepracowałem u Wolskiego w Lu'linie 15 lat, znałem się na tym. Robiliśmy sieczkarnie, brony, pługi, młocarnie, kieraty.

Pewnego dnia zgłosił się do nas właściciel fabryki w Szydłowcu, mówiąc, że chce ją sprzedać. Skorzystaliśmy z tej oferty, umowę podpisaliśmy 2 maja 1922 roku i od tej pory osiedliśmy w Szydłowcu”.

### Narodziny „Asa”

Bracia Węgrzeccy złączyli swoje rodzime tradycje wytwórcze z dziedzictwem szydłowieckiej fabryki, której wyroby — głównie bryczki i powozy — słynęły w kraju i Europie już od prawie półwiecza. Były eleganckie i trwałe. Na międzynarodowych wystawach zdobywały medale i dyplomy. Literat Kleszczyński na łamach krakowskiego pisma barwnie opisywał rezurekcję wielkannocną, na którą „jechało się, panie dziejku, kapitalną szydłowiecką bryką”. Pani Węgrzecka, Stefanowa, przytacza relację swego ojca, który podczas I wojny światowej hen, w dalekiej Wołogdzie spotkał wóz z tabliczką „Szydłowiecka Fabryka Bryczek”.

W rękach Węgrzeckich produkcja (i nazwa) fabryki rozszerzyła się o karoserie samochodowe. Tak to u schyłku lat dwudziestych, w koprodukcji firm: Jana Łaskiego w Warszawie, ul. Złota 64, gdzie wytwarzano podwozia — i Braci Węgrzeckich w Szydłowcu — karoserie, narodził się pierwszy seryjny polski samochód osobowy. Ochrzczono go imieniem „As”. Jego generalnym konstruktorem był inż. Aleksander Lieberman. „As” wyprzedził polskiego „Fiat-508” o całe 7 lat. Konie mechaniczne, dające napęd tak pierwszemu, jak i drugiemu pojazdowi, nie były oczywiście jeszcze swojego chowu. W przypadku „Asa” silniki importowano z Francji.

Szydłowiecką karoserię tego samochodu zaprojektował najstarszy z braci — Kazimierz Węgrzecki, wszechstronnie wykształcony w uczelniach technicznych w Warszawie, Mons

i Paryżu, konstruktor-wynalazca m.in. autor portowych urządzeń wyładunkowych, opatentowanych i zrealizowanych we Francji. Po studiach dostał lukratywną posadę w Mennicy Państwowej w Warszawie. Zrezygnował z niej jednak i wrócił do braci.

Ilościowo szydłowiecka produkcja nadwozi, zwłaszcza mierzona dzisiejszymi kryteriami, nie przedstawia się zbyt imponująco. W okresach prosperity sięgała 30 sztuk miesięcznie. Sukcesem wspomnianym ze szczególną satysfakcją było wykonanie w roku 1928 stu taksówek przeznaczonych dla Warszawy. Kursowały po stolicy długie lata. Oprócz taksówek wyrabiano karoserie karetek pogotowia, wozy piekarskie, a także nadwozia ciężarówek. Na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r. firma otrzymała srebrny medal.

Ale nie samymi sukcesami pisane są jej dzieje. Były w dobie kryzysów dłuższe i krótsze przestoje, był w 1933 r. pożar od niedopałka, rzuconego przez dozorcę (!) w trociny, byli też u Łaskiego w Warszawie dwaj inżynierowie, którzy przełuli podczas wyjazdu służbowego za granicę pieniądze przeznaczone na zakup silników, co skłoniło ich pryncypała do zaniechania samochodowego byznesu — a w ten sposób Węgrzeccy postradali głównego odbiorcę nadwozi.

Obstalunków jednak było mało. Wojsko np. zamówiło ledwie kilkanaście taczanek. Bracia nie udzielali się politycznie — nie byli pilsudczykami, nie należeli do OZON, BBWR. Świadczenia takie, jak: bezpłatne oddanie placu i cegły na budowę szkoły w Skarżysku (w czasach, gdy prowadzili także cegielnię), czy też ufundowanie kina i remizy strażackiej w Szydłowcu, dowodzą wszakże, że sobkami nie byli.

### „As” na barykadzie

Państwo Węgrzeccy wspominają:

— „W czasie wojny pomagaliśmy partyzantom. Wszystkim, jak tylko mogliśmy — i ludowcom i akowcom. Każdy dobry Polak był dla nas jednakowo dobry.

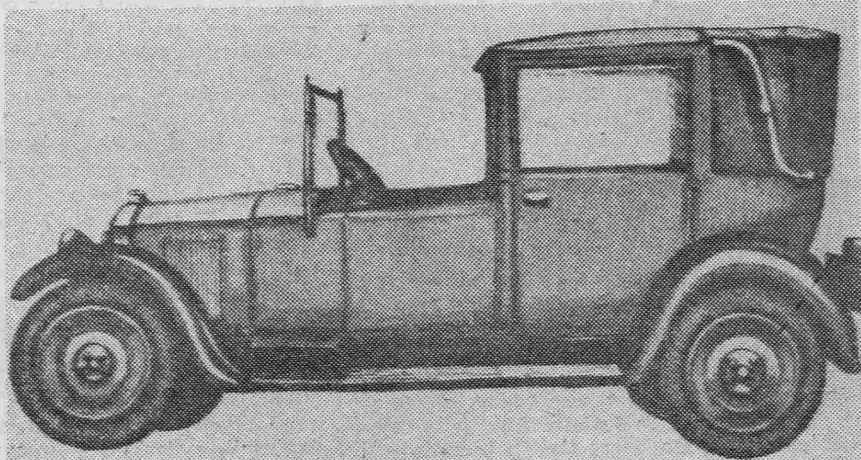
Jedną z niewielu rzeczy, które staraliśmy się przechować na po wojnie był nasz samochód „As”. Kiedy jednak pod koniec lipca 1944 r. bratanek dostał wezwanie do stawienia się w swojej organizacji konspiracyjnej w Warszawie, jego ojciec odwiózł go tym samochodem. I już więcej naszego „Asa” nie oglądaliśmy. Podobno w pierwszych dniach sierpnia powstańcy użyli go do budowy barykady na Wilczej. Została nam ta pociecha, że koniec miał bohaterski...”

### Epilog

Po wojnie, do 1951 r. Stefan Węgrzecki pełnił funkcję kierownika w szydłowieckich kamieniołomach. Współdziałał przy realizacji zamówień dla trasy W-Z i MDM. Zyskał uznanie ówczesnego głównego architekta Warszawy inż. Sigalina, współpracował z inż. Sunderlandem.

Następnie — 5 lat pracy gdzie indziej, na skromniutkiej urzędniczej posadce i wreszcie od 1956 r. — emerytura. Czas rozmyślań, wspomnień, podsumowań... Ożywianie w pamięci nawet chwil gorzkich, słodzi świadomość, że w sumie coś się jednak zrobiło, osiągnęło — że istniało się nie tylko biologicznie. Pięć i pół tysiąca bryczek, około tysiąca nadwozi — tyle wykonano w Szydłowcu w latach 1922—1939. Dużo to, czy mało? Zważywszy możliwości i przeszkody, chyba sporo. Zresztą nie ilość w tej ocenie najważniejsza. Ważna jest przede wszystkim ta pionierska cegiełka. Ten własny epizod w kronice polskiej motoryzacji.

„As” z 1928 r. (wycinek z „Przekroj —”, nr 1485 z 23 września 1973 — z rubryki „Kochajmy stare gruchoty”).





**Nie było chętnych do tej pracy. Amerykanie godzili się na nią pod warunkiem, że bezpieczeństwo zapewni im kordon policji, a Niemcy powiedzieli, że to rzecz zupełnie niemożliwa. Wtedy Arabowie zdecydowali się na Polaków. Przyjechało wówczas trzech takich z Kielc i siedzą tam już piąty rok. Nie narzekają.**

**M**iało Umariych, to dzielnica w której mieszka pół miliona najbiedniejszych obywateli Kairu. Turystom zaleca się omijanie tej części 8-milionowej metropolii Egiptu, gdyż podobno nie tylko pojedynczy turyści, ale całe wycieczki z autokarami ginęły wśród tych ruin bez śladu.

Przeciętny Egipcjanin wie tylko, że jego kraj znalazł się w politycznym impasie na skutek imperialistycznych machinacji. Ow biedak nie potrafi jednak rozróżnić różnojęzycznych rozmów Europejczyków i do każdego z nich odnosi się nieufnie. Tak mu nakazuje instynkt.

Czy wiedział o tym Ireneusz Nieduziak z kieleckiego Oddziału PKZ, gdy wczesnym rankiem, we wrześniu 1972 roku wsiadł na Okęciu do TU-134, aby po siedmiu godzinach wylądować na lotnisku w Kairze? Wiózł wtedy ze sobą w nieznanie swojego kierownika z pracowni projektowej, Jerzego Kanię i fotografa, znikowanego na punkcie żeglarstwa, Stanisława Machałę.

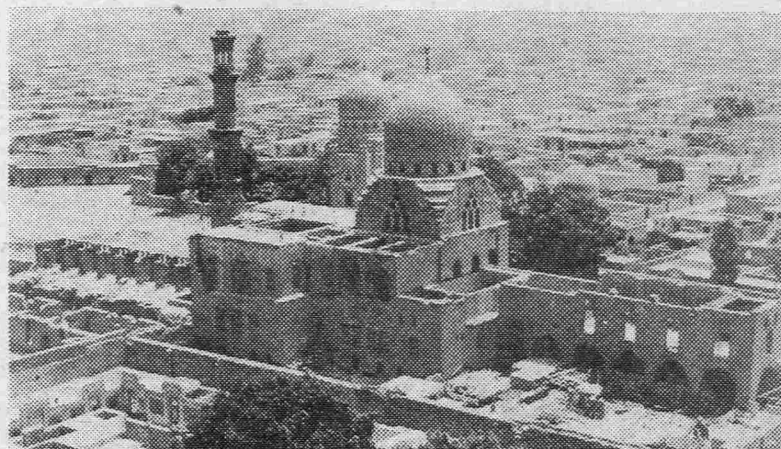
Mieli szczęście, że na tę podróż wybrali jesień. Parę miesięcy wcześniej, gdy w tych stronach wieje straszliwy hamsin, pewnie nie zastanawialiby się długo i poczekali parę godzin na lot powrotny do Warszawy.

Hamsin znaczy po arabsku pięćdziesiąt. Ponieważ wiatr wieje zazwyczaj wiosną i to właśnie przez równo pięćdziesiąt dni, dlatego tak go nazwano. Zapowiada go najpierw lekko przymglone na horyzoncie niebo. Po kilku godzinach robi się szaro, później ciemno. Brudno-czerwone słońce widać wtedy przez miliardy ziarenek piasku, jak przez zadymioną szybę. Jest gorąco, jak w piekle. Pył wciska się wszędzie — zdrapuje lakier z samochodów, niszczy najbardziej szczelne zegarki, z potężną siłą wali olbrzymimi tumanami w wapienne fasady budynków. Podobno Arab, który w czasie hamsinu zabije człowieka, nie podlega karze...

Więc kto chciałby pracować w tym Mieście Umariych, zamkniętym wzgórzami Mokatanu, autostradą i pustynią?...

Nazwa obecnej dzielnicy Kairu wzięła się stąd, że w wiekach średnich, w podziemnych labiryntach wspaniałych rezydencji grzebano tutaj zwłoki dostojników państwowych. Nie jest pew-

ne, ale można przypuszczać, że znajdują się tutaj setki, może tysiące grobów. Władze egipskie od dawna chciały zaangażować tam wybitnej klasy specjalistów dla ratowania tych zabytków.



## U WIELKIEGO KURKUMASA

Marek Darmas

Dlaczego? Czy mało w tym kraju nadzwyczajnych i wspaniałych pomników dawnej kultury, żeby jeszcze zawracać sobie głowę paru budowlami zaledwie z XVI wieku?

Obfitość może rodzić obojętność. Podobno kiedyś, w czasie spisu inwentarskiego grobowca Tutenchamona zabrakło szczerzatego berła władcy. Nikt się tym nie przejął, nikt nie zadał sobie trudu, żeby dokładnie poszukać kilkunastokilogramowego skarbu. A berło leżało za mumią...

W Egipcie niemal wszystko jest stare, cenne i zazwyczaj ze złota. Ale 1300 lat panowania islamu na tych ziemiach sprawiło, że ludność przywiązuje już mniejszą wagę do pomników kultury Starożytnego Egiptu. Całkowicie zarabizowany dziś Egipt ma więc głębszy sentyment do wszystkiego, co wiąże się z panowaniem Arabów i religią muzułmańską. Wolą więc wyzwolenca Kurkumasa od faraonów.

**K**urkumas znaczy po turcku Nieustraszony. Cóż to był za mąż, który na przełomie XV i XVI wieku kazał wybudować na przedmieściach Kairu wspaniałą rezydencję z grobowcem? Nieustraszony był mamelukiem-niewolnikiem. Ponieważ jednak urodził się z wolnych już rodiców, mógł, zgodnie z wówczas obowiązującym prawem, dojść do najwyższych godności. Obdarzony niezwykłymi zdolnościami, doszedł wkrótce do największych zaszczytów i mógł rozkazywać, aby nazywać go Ras Nuba Kebir lub Emir Kebir, czyli Wielki Książę.

bytku, została opuszczona w XVIII wieku i od tej pory, wystawiona na działanie straszliwego hamsinu, niszczała do dziś.

**D**opiero w 1972 roku przyjechali ratować ją trzej ludzie z kieleckiego Oddziału PKZ. Inżynier architekt, Ireneusz Nieduziak stanął wtedy na czele Polsko-Egipskiego Zespołu Konserwacji Zabytków Islamu w Kairze. Nie było to łatwe zadanie. Najpierw trzeba było przezwyciężyć niechęć ubogich tubylców, którym dano pracę przy robotach konserwatorskich, pieniądze, należny szacunek, a potem przyjaźń. Wkrótce podziw miejscowych zaczęła budzić rzetelna wiedza młodych kielczan, ich zapał przy rekonstrukcji najwspanialszej w Kairze, wielokrotnie niszczonej przez trzęsienia ziemi budowli. Wykonanie zewnętrznych elewacji było mniejszym problemem, niż zarządzanie wnętrzem. Nie dysponując tutaj żadną dokumentacją, polscy architekci-konserwatorzy słusznie przyjęli tezę, że Kurkumas musiał wzorować się na którymś z władców. A ponieważ obiekt postawiony przez sułtana przetrwał do naszych czasów, meczet-grobowiec Nieustraszonego urządzili w ten sam sposób.

— Prace potrwać jeszcze kilka lat — powiedział nam inż. Nieduziak w czasie niedawnego pobytu w kraju — ale już dziś jest pewne, że Egipcjanie zaangażują nas później do kolejnych robót przy rekonstrukcji licznych obiektów w tej dzielnicy Kairu.

— Czy widział pan grobowiec legendarnego Kurkumasa?

— Prawdopodobnie tak. W systemie komór grobowych, które pod ziemią wypełniają obrys budynku, w środkowej komorze, znaleźliśmy zwłoki mężczyzny, prawdopodobnie sześćdziesięcioletniego, leżącego na prawym boku, z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. To był najprawdopodobniej on.

— Co prócz potężnej dawki nowszej historii Egiptu przywiózł pan do kraju?

— Bransoletę z ogona słonia, która podobno pomaga na wszystko.

Zakończenie prac polskiej misji planowane jest w przyszłym roku. Meczet i mauzoleum Kurkumasa będą wtedy spełniać swoją pierwotną funkcję. Natomiast w pałacu powstanie pracownia Polsko-Egipskiego Zespołu Konserwacji Zabytków. Siedziba tego zespołu powstanie również, jeszcze w połowie tego roku w Kielcach. Znajdą się tutaj mikrofilmy, bogata dokumentacja zdjęciowa, księgozbiór, ciekawe eksponaty. Praca kieleckich architektów w Egipcie znajdzie tym samym swoje odzwierciedlenie w ich rodzinnym mieście.



Jesienią, sześćdziesiątego drugiego roku, jeden z weteranów ostatniej wojny opowiedział mi o małym, może dwuletnim chłopcu, znalezionym przez żołnierzy na polu bitwy pod Studziankami. Pancerniacy zaopiekowali się dzieckiem, a ponieważ próby odzyskania rodziców nie przyniosły rezultatu, zabrali Piotra (tak bowiem nazwano malca), zostawiając go w sierocińcu prowadzonym przez zakonnicę — gdzieś w okolicach Starej Miłosnej.

Odwiedziłem Studzianki, przepytalem pobliskie wioski. Nie stety — tutejsi gospodarze już nie pamiętali zdarzenia. Pamiętali je tylko kombataneci — podawali adresy kolegów; zjeżdżałem kawał Polski, rozmawiałem z ogrodnikami, ślusarzami, tak-sówkarzami, dyrektorem departamentu.

Piotr istniał rzeczywiście. Wspomnienia zmieniały tylko imię — znajdę; występował jako Mamek, Krzysiek, Jan — nawet: Jan Franciszek. Przesuwano również miejsce rozstania — kościółek, wille, lasy i piaski — wzdłuż brzegów rzeki Świder.

Zwędrowałem wskazany region, dotarłem do domu opieki, klasztoru oraz ochronki. Dom ledwie otwarto, ochronkę likwidowano, strzyżki skasowały dokumentację; przełożona, owszem, przyjęła wiele sierot, owszem, kilka sierot oddali woj-skowi, najmłodszego, dwuletniego, pisano tymczasowo — Tomaszem Gracjanem. Latem, czterdziestego szóstego, władze roz-rzuciły pensjonariuszy w innych, lepiej wyposażonych, o-środkach.

Trop ginął. Choć opublikowa-łem artykuł informujący o „Pio-trze-Janie-Tomaszu (?)” — re-porterskiej relacji nie uzupełnił nikt.

Mężczyzna zatelefonował ran-kiem, szesnastego kwietnia. Prze-tawiał się: Adam ...ski. In-żynier. Wracał z delegacji służ-bowej, mieszka w Warszawie, w Krakowie szybciej załatwił sprawę, przerwał podróż, wysiadł. Czekaj. Zaproponował kawiarnię koło dworca, określił znak roz-poznawczy.

Pożółkła plachta papieru. Da-ta obwiedziona zielonym flama-strem: 20.X.1962. Był rok 1977. Poznałem.

Wyjął fotografie. Zdjęcia sy-na, córki, żony.

Pracując uzyskał dyplom; no-we mieszkanie, meble, chce ku-pić samochód, odkładał — pora: skończył trzydzieści pięć. Trzy-dzieści pięć, sześć — mniej wię-cej. To wie. Wie również: nazwi-sko wyniósł z Domu Dziecka. Prócz nazwiska — mglistą in-formację: do poznańskiej pla-cówki skierowały go zakonnicę.

Bodajże z Otwocka, Świdrow, e-wentualnie Wesołej...

Przed miesiącem pożyczyl au-to, wsadził rodzinę. Rzeczka roz-lała szeroko, pachniało sosnami. Mówił.

Potem ruszył raz jeszcze — sam. I trafił. Zapukał. Uchyłono furtę. I mówił znowu. Stara ko-bieta czekała. Przyniosła; „spójrz, szukali. Gracjana, Fran-ciszka, Piotra. Szukali ciebie”.

— Musiałem pana zobaczyć. Chciałem wiedzieć czy ktoś, czy pan... Czy pan rozumie? — spy-tał.

# Odtworzenia

Bogusław Rajchert

Milczałem

Złożył starannie gazetę, scho-wał do portfela — obok dowo-du osobistego.

— No dobra: ta historia jest już tylko moją. Moją własną i tylko moją — powtórzył.

2

Przekonywał: powinienem in-terweniować, w zakładzie dzieja się złe rzeczy. Byłem dziennika-rzem miejscowej gazety, on tech-nikiem mechanikiem, brygadzi-stą z tutejszego kombinatu. Zna-liśmy się jeszcze ze szkoły.

Przez ćwierć wieku awanso-wał dwa razy. Inni, młodszy — kilkakrotnie. Pragnął studiować, nawet zaocznie — fabryka zba-gatelizowała ambicje pracowni-ka; otrzymał najgorszy zespół i żmudną robotę.

— Co więcej? — pytałem roz-czarowany miłośnością wynurzeń przyjaciela.

Wzruszył ramionami.

— Poszperaj, znajdziesz.

Znalazłem: nowoczesną orga-nizację produkcji, sympatyczny, zgrany kolektyw, brygadę — my-slałem: kiepsciuchną — chwalo-ną przez wszystkich: „mają so-lidnego szefa, zgoda, facet zgorzkniały, skryty, ale zadania wypełnia dbale, zaś studia, fakt, chciał rozpocząć, latami gadał — nawet nie złożył papierów; mi-nimalista, klasyczny wykonaw-ca; tacy również potrzebni”.

— Głupia sprawa, chyba ktoś mnie wprowadza w błąd...

— Lawirujesz... — westchnął — Widzę, że nikt... że wszystko zostanie. Nuda, brak perspektyw. Powoli topnieje szacunek dla in-nych. Dla siebie.

Zaczynałem rozumieć.

— Gdybyś, no wiesz..., daj znać — zaproponowałem mgli-ście.

Minął rok. Zajrzałem do kom-binatu. Spotkaliśmy się; tryskał energią, promieniał.

— ...a fajnie, leci. Zapomnij chłopie, nabredziłem kiedyś, na-stękałem bzdur.

Dalej pełnił starą funkcję w starym zespole. Jego sytuacja społeczna, zawodowa — nie u-legła dostrzegalnej zmianie.

— Próbujesz, macasz...? Bez skutku, kochany. Po prostu czło-wiek musi być realistą — po-wiedział wieczorem przy wód-ce — Człowiek powinien poznać siebie, wiedzieć na ile go stać. I że go zawsze stać. Że jest...

Zawiesił głos.

— ...dajmy spokój, przecież lu-bię fach, przedsiębiorstwo. Dum-ny jestem...

Rozlał.

— Uważasz...

Podczas ostatniego urlopu wy-ratował tonącego chłopca. Na brzegu przebywało wielu mę-zczyzn — skoczył pierwszy. De-cyzji mało nie przypłacił życiem.

Wieść o szlachetnym czynie została tajemnicą wczasowego o-środka; spełniono sugestię rodzi-ców dziecka i prośbę ratownika.

Wypiliśmy sporo. Trudno dziś stwierdzić, czy zdarzenie zna-d Wisły miało jakiś związek z...

3

Krzysztofa R. poznałem przy-padkowo (nasi synowie wspólnie budowali kartonowe modele sa-molotów) i — jak to czasami by-wa — polubiliśmy się z miejsca. Łowiliśmy ryby, kibicowaliśmy dzieciakom, rozgadywaliśmy wol-ne wieczory.

Raz R. wspominał wywiad, który niegdyś przeprowadziłem z jego kuzynem, popularnym w miasteczku pejzażystą. Malarz ów, człowiek niemłody, wysta-wiał rzadko; sympatię zdobył ra-czej dzięki wybitnemu koneser-stwu dzieł sztuki i bolesnej stracie.

„Wylewam żalę u nas Polaków błahe...” — mówił wtedy arty-sta — „... ale jestem już stary, szczytowy okres twórczości prze-żyłem przed laty. Wie pan, oku-pację spędziłem blisko Radomia, w domu ciotki. Rozpacz i na-dzieja potrafią wyzwolić ogrom-ne siły, rozniecić wyobraźnię; całe dni, miesiące, lata tkwiłem przy sztalugach, miałem kilka-dziesiąt olei, czułem: dobrych, bardzo dobrych. Marzyłem o przyszłym, wspaniałym wer-nisazu — gdy doniesiono, że poszukują mnie Niemcy. Płótna ukryłem na strychu, uciekłem. Wróciłem wiosną czterdziestego piątego. Zastałem zgłiszczca. Ciot-ka zginęła, przepadł cały doro-bek... Otrząsnąłem się, lecz wiem: nigdy już nie osiągnę poziomu młodości. I nie zasypię wyrwy. Olśnienie, ekstaza — zajmują krótki wycinek istnienia. Czyż wolno podjąć próbę powtórzenia prawdziwego siebie? O nie, dro-gi panie: od marnej kopii — wo-lę pamięć i ludzką wiarę...”.

— Napisałeś cholerną bujdę — rzekł Krzysztof R.

— Zacytowałem tylko słowa twego krewnego.

R. się uśmiechnął.

— ...oczywiście. Uczyniłeś rzecz pożyteczną. Wsparłeś.

... ?

— ...ja także chciałem i...

— ...bo uważasz: kuzyn odzy-skał większość wojennych obra-zów. Uratował je wiewien apte-karz, przyjaciel ciotki. Gdy go spotkałem — twierdził, że stano-wią jego własność. Umierająca — śmiercią naturalną, na raka — kobieta, ponoć dała mu dzie-ła wkrótce przed ofensywą i po-żarem willi. Pigularz rzucił ru-lony do piwnicy, szczęściem — suchej. Teraz żądał pokażnej sumki. Nic nikomu nie zdradza-jąc — wziąłem pożyczkę. Dobi-liśmy targu, nawet wyczarowa-łem obniżkę — twierdząc, że prace są wczesne, słabiotkie i tak dalej, rozumiesz... Ech, Bo-że... — niczego jeszcze nie podejr-zewałem...

— ...w przeddzień jubileuszu czterdziestolecia twórczości — wciąż zachowując absolutny se-kret — dostarczyłem prezent ar-tyście.

— Choć minęły dwa lata — nikt więcej nie widział odzyska-nych płócien. Z powodu choro-by, kuzyn odwołał uroczystości jubileuszowe. Chorował długo. Teraz mnie unika. Ale znowu więcej maluje... I chętnie udzie-la prasie refleksyjnych, owia-nych mgłą smetku, wywiadów — zakończył Krzysztof R.



## Po VII plenum KC PZPR

**W** kwietniu studenci kieleckiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej wspólnie z Zarządem Wojewódzkim Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej zorganizowali sympozjum naukowe pod ogólnym tytułem „Lenin — moralność — socjalizm”. Autorami referatów i komunikatów naukowych byli studenci. Nauczyciele akademicy byli tym razem ich gośćmi. Wykładowcy słuchali wykładów swoich uczniów. Referaty pt. „Leninowskie kryteria ocen moralnych” oraz „Marksizm-leninizm wobec problemów moralnych współczesności” były podstawą do dyskusji o sprawach dnia dzisiejszego — uczciwości, pracowitości, zaangażowaniu, patriotyzmie, świadomości społecznej. W toku obrad studenckiego sympozjum przewijały się bezustannie treści VII plenum KC PZPR w sprawie pogłębiania socjalistycznej świadomości i utrwalania patriotycznej jedności narodu. Przedstawiały niektóre wypowiedzi uczestników sympozjum. Jak principia naszej ideologii i założenia polityki partii odzwierciedlają się w świadomości dzisiejszych studentów?”

Aleksandra Niesiołowska (bibliotekoznawstwo, II rok) „Pojęcie humanizmu socjalistycznego jest dla wielu jeszcze ludzi zwrotem nie w pełni zrozumiałym. Wiele składa się na to przyczyn. Na pewno jedną z nich jest wieloznaczność słowa „humanizm” i możliwość podkładania pod nie różnych treści; drugą — zło, pozbawione talentu i niezbędnej pasji wyjaśnianie prawdziwego sensu socjalistycznego humanizmu przez leniwych nauczycieli i kiepskich propagandystów. Socjalizm gdy się rodził, to jego punktem wyjścia był człowiek, dążenie do wyzwolenia człowieka z biedy, upokorzenia i wyzysku. Punktem docięcia socjalizmu jest też człowiek; wszak celem ustroju, do którego dążymy, jest pełne człowieczeństwo osiągalne w warunkach państwa komunistycznego. Jedynym realizatorem tego celu jest także człowiek. Doktryna, która wywodzi się od człowieka, wiedzie do pełnego szczęścia człowieka i samego człowieka czyni realizatorem tej drogi — jest doktryną prawdziwie humanistyczną. Nasz humanizm jest realny. Humanizm renesansowy dał ludzkości nie tylko Petrarke, Michała Anioła i Leonardo da Vinci, ale też stosy, na których palono ludzi za ich przekonania. Humanizm burżuazyjny wabił i wabił hasłami wolności, równości, braterstwa, prawami człowieka, ale dał też ten „humanizm” świata Oświećmy, Hiroszimę i apartheid.

Kryterium humanizmu socjalistycznego jest najdonioślejsze w naszej ocenie ludzi i zjawisk społecznych. Właśnie w imię tego humanizmu należy ganić i krytykować za zło, lenistwo, lizustwo, okrucieństwo. Należy przy tym pamiętać, że jest wśród nas, Polaków, wielu cichych i skromnych bohaterów, którym nie zawsze przypinamy ordery i składamy należne im uznanie. Niedostrzeganie ich, pozostawianie w anonimowości nie przyczynia się do poszerzania i pogłębiania ideałów naszego humanizmu, a w jego obrębie — zasad socjalistycznej sprawiedliwości.

Musimy mocno zakorzenić w swojej świadomości oraz wyjaśnić i tłumaczyć przy każdej okazji, że humanizm socjalistyczny nie jest zbiorem wartości stałych i niezmiennych; nie jest też ideałem, który pewnego dnia zapanuje na świecie, ku radości wszystkich. Vercors kiedyś napisał: „człowieczeństwo nie jest stanem, z którym przychodzimy na świat: to godność, którą trzeba zdobywać nierzadko za cenę też”. Myślę, że w trudzie i nierzadko za cenę też przyjdzie nam urzeczywistniać człowieczeństwo zawarte w marksistowsko-leninowskim humanizmie.

Grażyna Rabikowska (bibliotekoznawstwo, II rok). Na VII plenum KC jeden z dyskutantów mówił: „wychowujmy młodzież tak, aby rozumiała, że wszystko trzeba samemu wypracować”. Przytaczająca większość młodzieży o tym wie. Może zbyt wielu pojmuje pracę w sposób uproszczony, wulgarny. Jako wysiłek, jako powinność, za którą otrzymuje się pieniądze — i nie więcej. W udoskonalonym procesie nauczania i wychowywania młodzież musi zrozumieć głębszy sens pracy — filozoficzny. Za mało naszych rówieśników uświadamia so-

bie, że to wszystko, do czego ludzkość doszła i z czego jest dumna — zawdzięcza pracy. Błędnie są przeświadczenia większości młodzieży, że praca uczi człowieka, że praca jest miernikiem wszelkiej wartości, że pracą i tylko pracą osiągamy postęp społeczny — na którym wszystkim nam zależy.

Jeżeli w świadomości młodego człowieka tkwić będzie głęboka wiedza o pracy, o jej filozoficznych aspektach i etycznych uwarunkowaniach, to dopiero wtedy ten człowiek będzie mógł zrozumieć, co się do niego mówi o postawach moralnych i obywatelskich, ujawnianych w pracy i przez jej owoce. Wtedy dopiero dotrze do niego głęboki sens zawarty w słowach naszych polityków i tą drogą dochodzimy do sedna — do potrzeby pogłębiania i doskonalenia naszej świadomości (...).

Wśród nas, mam na myśli całe społeczeństwo, a nie generację, do której należy, istnieje sprzeczność w poglądach na temat pracy. Z jednej strony mamy apele i wezwania o lepszą pracę, twórczą, o wzmożony wysiłek, a z drugiej strony — kpiny z wysiłku. I są to kpiny, że tak się wyrażę, oficjalne. Oto przykłady: w jednym z dzienników przeczytałam reklamę, apelującą do narzeczonych, aby przed ślubem nie omieszkać zagrać w toto-lotkę (tu nastąpił rejestr zakładów podwójnych, systemowych, premiach za banderole itp.) i tą drogą... zabezpie-

czyć sobie dobry start w małżeństwie i przyszłość! (?) Komentarz zbyteczny. Ostatnio całą prasę, kielecką też, obiegła wiadomość, że była holenderska mistrzyni łyżwiarstwa, występująca w rewii na lodzie już nie może występować i biedna... musi sprzedawać lody. Młody czytelnik tej informacji dowiaduje się zatem, że sprzedaż lodów jest czymś uwielbianym. Skądinąd wiadomo, że mamy trudności z kadrą w naszym handlu. No, ale jak się z pewnych czynności zawodowych kpi...

Grażyna Grudzińska (pedagogika kult.-oświatowa, I rok). „Mierzi mnie i moich

# Poglądy i postawy

Bogusław Morawski

czyli sobie dobry start w małżeństwie i przyszłość! (?) Komentarz zbyteczny. Ostatnio całą prasę, kielecką też, obiegła wiadomość, że była holenderska mistrzyni łyżwiarstwa, występująca w rewii na lodzie już nie może występować i biedna... musi sprzedawać lody. Młody czytelnik tej informacji dowiaduje się zatem, że sprzedaż lodów jest czymś uwielbianym. Skądinąd wiadomo, że mamy trudności z kadrą w naszym handlu. No, ale jak się z pewnych czynności zawodowych kpi...

Elżbieta Zakrzewska (bibliotekoznawstwo, II rok). „Akurat minęło 75 lat od opublikowania książki Lenina „Co robić”, w której wyłożona została paląca potrzeba kształtowania świadomości ludzi. Rola czynnika świadomości w rozwoju społecznym to zjawisko ogólniejsze, potwierdzone w dziejach ludzkości wielokrotnie, lecz w pełni przejawia się ona w XX wieku jako naukowa myśl społeczna, czyli jako świadomość socjalistyczna. Dwudziestowieczna myśl społeczna związana jest ściśle z losami ruchu robotniczego i z Rewolucją Październikową (...).

Nie sposób zrozumieć istoty świadomości socjalistycznej w oderwaniu od marksistowskiej teorii rozwoju społecznego. Nie sposób także przyswoić sobie humanistyczne treści socjalizmu w oderwaniu od praktycznych przeobrażeń życia, od praktycznych problemów partii i jej polityki gospodarczej, oświatowej, kulturalnej i wyznaniowej. Nam młodym bardzo imponuje polityka partii wówczas, jeżeli negatywne zjawiska społeczne zwalczane są pod jej egidą. Aż się chce wówczas wstąpić do partii i być razem z tymi wszystkimi, którzy ze złem walczą (...).

Wiesława Hudziak (fil. polska, II rok). — Współczesny sens problemów ideologicznych i światopoglądowych naszego społeczeństwa obejmujemy nazwą jedności ideowo-moralnej. W przeszłości problemy ideologiczne sprowadzały się do walki o jedność ideowo-polityczną Polaków, czyli o skupienie jak największej rzeszy ludzi wokół politycznego programu socjalizmu. Dzisiaj pytanie o to, kto jest za socjalizmem, jest bezprzedmiotowe. Ponad połowa Polaków nie zna innej Polski, jak obecna, w której się urodzili. Pozostali o tę Polskę walczyli i w atmosferze wyrzeczonych osobistych dla nas ją budowali. Istnieje zatem jedność polityczna w naszym społeczeństwie. Różnią nas zaś postawy moralne i moralne motywacje w pracy, nauce, w działaniu społecznym. Z tego właśnie względu na VII Zjeździe partii, na III i ostatnio na VII plenum KC tak silnie akcentowano potrzebę jedności ideowo-moralnej naszego społeczeństwa.

Marian Jankowski (fil. polska, II rok). „Obserwacje mojego otoczenia przekonują

rówieśników zakłamanie, nieszczerść, takie podwójne istnienie. To bardzo utrudnia pracę, postęp. Słuchając w telewizji przemówienia E. Gierka na VII plenum, utkwiły mi w pamięci pewne słowa, których na drugi dzień szukałam w gazecie, żeby je przepisać. Znalazłam. Gierek mówił: „Spotyka się też nadal dwulicowość w poglądach i postawach, wyrażającą się w głoszeniu czegoś innego na oficjalny i czegoś innego na prywatny użytek. Wszystko to powoduje poważne szkody w świadomości społecznej, zwłaszcza w świadomości młodego pokolenia”. Powiedzione zostało tak, jak my czujemy (...).

Przewiduję, że w najbliższym czasie zmieni się nasz stosunek do słów „zaangażowanie” i „działacz społeczny”. Nie jest działaczem ani człowiekiem zaangażowanym ten, kto lata z zebrania na zebranie, na każdą okazję ma ładne polityczne słowa, wie kiedy przyklasnąć i tak dalej. Człowiek zaangażowany to taki, który wnosi coś nowego do życia, do swojego bieżącego społecznego, to człowiek twórczy w pomysłach i pracowitości. Jednocześnie musi to być człowiek odważny, który prosto z mostu mówi, co myśli, nie bojąc się, że mu to zaszkodzi w awansie lub lepszym stopniu w indeksie (...).

Takie poglądy o postawach, współżyciu, humanizmie, pracy i moralności wygłaszają nasi studenci drugiej połowy lat siedemdziesiątych, przyszli nauczyciele. Mają 20—22 lata. Uderza w ich słowach wnikiwe i głębokie widzenie najżywniejszych spraw Polski. Są optymistyczni, pełni nadziei, a jednocześnie bardzo krytyczni wobec wszystkiego, co w ich nadziei i oczekiwania może godzić. To dobrze. Dobrze też, że ich krytycyzm opiera się na wiedzy, jaką zdobywają i do oceny społecznych zdarzeń przystępują uzbrojeni w argumenty i metody naukowe. Tą ich nauką, częścią świadomości — co trzeba silnie podkreślić — jest marksizm-leninizm. Przypominam, że tematem sympozjum, na którym radzili, były marksistowsko-leninowskie zagadnienia moralne. Ale treścią ich debat, tym co przebiegało przez każde zdanie referatów i dyskusji, był dzień dzisiejszy, postawy ludzi i troska o to, co jeszcze trzeba zrobić, co oni sami muszą zrobić, żeby Polskę wnieść wyżej i żyć w niej jeszcze lepiej.



# Nawet po Panu Bogu

Irena Jarosz

**L**icząc rok kulturalno-oświatowy po staremu, od byłego października, byłibyśmy grubo po półmetku. Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, wiosenna gala za nami. „Sojusz świata pracy z kulturą” realizuje się pracowicie, umocniony uchwałami plenum CRZZ. Rada Naukowa TWP odbyła w Ameliówce owocne obrady poświęcone analizie działalności oświatowej w środowisku chłopsko-robotniczym. Dawniej coś z tego wszystkiego, od ministerstw do województwa dotarłoby powiatem w dół, do fabrycznych świetlic i wiejskich klubów, bo tak nam się instytucjonalna kultura i oświata w dół rozpowszechniała, a potem do góry liczyła w statystykę. Teraz zaczyna być trochę inaczej. Uchwałami Kongresu Młodzieży Polskiej potwierdzono konieczność większej ofensywności całego ruchu młodzieżowego w dziedzinach wychowania i społecznego życia młodzieży, nowy rok zaczął się sejmikami we wszystkich ogniwach organizacji, w maju, na wojewódzkim, zebrano z tej akcji wnioski i przekazano do Komitetu Wykonawczego Rady Głównej FSZMP.

Zacytuję z założeń programowych punkt 5 w pełnym brzmieniu, bo nie wiem, czy moim refleksjom towarzyszyć powinna nadzieja, czy zdziwienie:

„Gwarancją powodzenia programu aktywizacji poczynają organizacji młodzieżowych w działalności kulturalnej i sportowo-turystycznej jest włączenie (podkr. moje) do udziału w jego realizacji szerokiego kręgu działaczy społecznych oraz współuczestnictwo wszystkich instancji i organizacji zainteresowanych tą problematyką, w szczególności zaś: resortu Kultury i Sztuki, Związków Zawodowych, GKFFiT, Ministerstw Oświaty i Wychowania, Szkół Wyższych, Nauki i Techniki, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, CZSR „Sch”, organizacji kultury fizycznej i turystyki, stowarzyszeń kulturalnych i związków twórczych, środków masowego przekazu”.

To włączenie tylko wszystkich, którzy od lat są autorami programów, dysponentami środków, zajmują w kulturze posady, świadczyć może, że młodzież bierze sprawę w swoje ręce, że nie jest to już postawa, która nas przez tyle lat niepokoiła: „nie mamy klubu, nie dali, nie przysłali, nie zorganizowali”. Sami robili swoje sejmiki w kołach, w gminach, można powiedzieć — bez świadków, których mieć powinni, póki wojewoda kielecki nie uruchomił piśmem z 22 lutego br. większej ciekawości naczelników dla zebrań młodzieży, przypominając, że „wszystkie instancje terenowe oraz Rada Wojewódzka FSZMP przedstawia dorobek, wnioski i postulaty z sejmików władzom politycznym i administracyjnym, podejmując inicjatywę wprowadzenia tej problematyki na forum egzekutyw instancji partyjnych i sesji rad narodowych”, dzięki czemu wnioski przesłane z sejmiku wojewódzkiego do Komitetu Wykonawczego Rady Głównej FSZMP są pakietem spraw i szczegółowych, i inspirujących teoretyczne rozważania o miejscu młodzieży w polityce społecznej, już nie jako tych, dla których się kulturę robiło, a oni jej podobno wciąż konsumowali za mało.

Zanim przejdę do lokalnych konkretów, trochę o samym pojęciu, definicji, do której można zmierzają socjologowie kultury, a co najmniej, dziennikarską intuicją i zderzeniem mitu z prawdą załatwia młodzież prasa. Władysław Loranc, wiceminister resortu, trafnie zauważa („Słowo Ludu” z dn. 30.04.1955), że dziś potrzebna jest wiedza, pracowitość, fachowość, ale i wrażliwość, zdolność kojarzenia, pamięć, inteligencja, że męczą się ręce, cały system nerwowy, rozprasza psychiczna energia,

że kultura, wartość sama w sobie, tworzenie przenika życie produkcyjne, staje się aktywną siłą ogólnego rozwoju człowieka i jego społeczeństwa. Ale, gdy Urszula Bielous przygląda się realizacji sojuszu świata pracy z kulturą w przodującej „Świdnicy”, mistrz zapytany o „jego” komisję przy Radzie Zakładowej mówi: „Twór jest nowy i pewnym sprawdzonym metodą trzeba będzie dopiero dorównać”. Instytut nie pomógł w „Świdnicy” przebadać potrzeb kulturalnych pracowników i skąd dyrektor wie, czy ludziom ciężko pracującym w przemyśle potrzebna jest kultura, bo wielu twierdzi, że pragnie po prostu znaleźć się szybciej w domu i w łapciach odpocząć przed telewizorem. Tomasz Zalewski w reportażu o Jeleniej Górze i okolicach wie, że źle jest traktowanie kultury jako podarunku, albo towaru przywożonego z zewnątrz, źle są odgórne przesłane pojęcia i schematy, a potrzebna społeczność lokalna, zintegrowana, kontrolująca samodzielnie bieg swoich spraw. Anna Strońska przytacza w artykule „Jak warto żyć” badania w krakowskim środowisku studenckim i robotniczym. Cele młodzieży z uczelni szeregują się tak: życie osobiste, życie kulturalne, niespełna 10 proc. widzi siebie w charakterze społeczników z prawdziwego zdarzenia. Robotnicy w „Szadkowskim” pytani, od kogo i od czego zależy pomyślna przyszłość kraju, ludzi kultury, kulturę stawiają na ostatnim miejscu, za mądrymi rządami, rolnikami, siłami przyrody, nawet po Panu Bogu.

Jeszcze słowo z Witolda Baniewicza o teatrze robotniczym: „Coraz mniej chętnych do zespołu. Zmniejsza się potrzeba aktywności kulturalnej, to widać wyraźnie”. Piśmo o starym robotniczym teatrze, który dał 80 spektakli, miał 1000 wykonawców. I Jerzy Lohman o folklorze: na wsi zespół pieśni i tańca to żywioł, ulubiona rozrywka, w zakładzie „firma” ze znakiem często zagranicznym. Amatorski teatr? Rozrywka dość niemodna. Częściej kabaret. Inscenizacja starych obrzędów. Wszystko przy zespole ludowym”. Ale — konkluduje, choć „nic nie grozi małomianemu światu”, pewne formy się przeżyły w upowszechnianiu kultury, kto wie, czy potrzebniejszy jest zespół pieśni i tańca, czy nowoczesna biblioteka wyposażona w mikrofilmy, kasety?”

Z tych ułamków wiedzy i pytań, zebranych w miesiąc z krajowej prasy kulturalnej, która przecież nie jest codzienną lekturą gospodyni wiejskiego klubu, ani dojeżdżającego robotnika, widać, jak nie przystaje do dziś, to, czego nam na Kielecczyźnie, i nie tylko, jeszcze nie

udało się, idąc starymi tropami, zmontować. W referacie na sejmiku wojewódzkim odnotowano niepokojącą stagnację w rozwoju sieci klubów: tylko 227 wiejskich, 29 zakładowych i środowiskowych. Stagnację ruchu amatorskiego, bo nie ma pomocy instruktażowej WDK i jego odpowiedników terenowych (nawet dla znanego zespołu folklorystycznego ZGm ZSMP w Radkowicach). W radach klubów jest 65 proc. młodzieży, członków organizacji, a inteligencja, nauczyciele, lekarze nie dają się do nich przyciągnąć. Umianowice szkołą dwięście osób rocznie, ale to wciąż jeszcze nie to. Punkty biblioteczne nadal egzystują w prywatnych mieszkaniach. Nie ma tanich noclegów i taniego sprzętu sportowego i turystycznego, a jest „Studium Aktywnego Wypoczynku”.

Wybrałam tylko kłopoty, bo z nich raczej niż z sukcesów, których jest dużo, rodzi się niepokój i zmiany. Trzeba pochwalić Kielce, Ostrowiec, Starachowice, Skarżysko, Końskie, za wciąż nowe formy sojuszu świata pracy z kulturą, trzeba oddać całą sprawiedliwość sejmikowi miejskiemu w Kielcach za sejmik artystyczny KKMP konkursy występy, „Młodzi Idą 77” II dekadę literatury polskiej, Studencką Wiosnę Kulturalną, bo tak miały wyglądać jako prezentacja twórczego uczestnictwa, sejmiki miejskie, ale to czego się młodzież podjęła na Kongresie najlepiej bo najtrudniej, widać w materiałach z amin i zakładów.

Ze sprawozdania z sejmiku w gminie Piekoszów wynotowałam kilka ciekawych spraw. GOK w Piekoszowie w którym kiedyś rumuńscy dziennikarze przeliczali w setki tysięcy złotych, zdumieni, wartość sprzętu służącego kulturze i oświacie, chyba miałby mieć pod opieką i tamtejszą świetlicę przy PGO i klub rolnika. Również Miedzianą Górę, w której młodzież zadeklarowała czyn społeczny, dla siebie, ale Urząd Gminny nie kupił farb. W tej gminie jest rajd gminny i turniej o puchar naczelnika gminy, ale nie ma bazy w Jaworzni, (była!), w Zajęczkowie (choć tam kiedyś dawno „smutna Cyganka śpiewała”, ale była i scena w szkole jakoś z nim zintegrowana), nic nie ma Brynica, Lesica, nie ma wyposażenia klub w Bobrzy.

No i przy tej Bobrzy się zatrzymajmy. Pojechałam tam kiedyś jako konsultant prelegenta TWP w wielkiej akcji „Młodzież” Prelegent, bywa, nie dojechał, lato, pięciu młodych ludzi wpadło po dniu w technikum, potem razem rozwiązywaliśmy krzyżówki. Byłam pełna podziwu, ile mają wiedzy do krzyżówek, nie uważam tego za złe spędzanie czasu, a o dojeżdżanie do klubu, rozjeżdżonym przez cięgnik kołowy, wiedzieli, że to ich społeczne zadanie. Poza sobotą, o czym wszyscy wiemy, nikt tu na klub nie ma czasu, ludzie się uczą i pracują. W Miedziance, po doprowadzeniu lokalu do stanu używalności przez młodych ZPW kazał młodym oddać klucze. We Włoszczowie, na sejmiku rejonowym, w sumie dwadzieścia osób, o sprawach miasta-gminy Włoszczowa, gmin Małogoszcz, Krasocin, Łopuszno radził w obecności: naczelnika miasta, prezesa Włoszczowskiego Towarzystwa Krzewienia Kultury, ZBoWiD, dyrektora Domu Kultury, dyrektorów szkół. O te wnioski można nie mieć obaw. Klub w Biechowie (Busko) w akcji „Plastyka wokół nas” zdobył IV miejsce wśród 240 klubów, ale doskwiera im... brak kina objazdowego. Do konkursu „Plastyka wokół nas” wchodziło i uporządkowanie terenu wokół klubów i zagrody, i wiedza o sztuce, czytelnictwo. Przdające — Grzybowa Góra i Szerzawy — nagrodzono za to obrazami Krzysztofa Jankowskiego, klub w Widelkach dostał





fundusze na wystrój regionalny pod okiem etnografa. Ba, dekorowane z najlepszej woli laleczkami, haftowaną tkaniną, drewnoplastyką, kluby — okazało się — zatraciły kryteria różnicy między kiczem a dziełem artystycznym. W Solcu-Zdraju sejmik zobowiązał dyrektora Gminnej Szkoły Zbiorczej oraz naczelnika gminy do zorganizowania GOK-u w Domu Strażaka, powstał gminny komitet kultury. Tyle z niektórych naszych wsi.

Na sejmiku w Końskich powołano komisję koordynacyjną ds. kultury, sportu i turystyki, która między corocznymi sejmikami będzie kierowała realizacją planów. Może mają prawo mnożyć ciała koordynujące? Partnerzy poważni: KZO, FSC „Polmo”, Kowent, Sp. Inw. „Naprzód”, aktywne koło w Rogowie, Kornicy, Dziebałowie, Dyszowie. To tam są wyjazdy do teatrów, sportakiady sportowe w zakładach, rajdy, Międzyzakładowy Przegląd Dorobku Kulturalno-Oświatowego Młodzieży, „Poznajmy się”, „pasowanie na metalowca”, ważny element kultury — gazeta „Odlewnik”. Tam znalazłam uwagę, że za mało jest tej obrzędowości organizacyjnej, z okazji podjęcia pierwszej pracy przez młodych, odejścia do wojska i z niego powrotu. W PKS-ie, mimo braku bazy kulturalnej, było 15 wycieczek turystycznych-krajoznawczych, 8 dyskotek z kursami czytelniczymi, to tam martwił się, że „młodzież i pracownicy ograniczają się tylko do pracy”. Gradacja popularności form spędzania czasu wolnego: dyskoteka, wieczorki, akademie,

najmniejsze zainteresowanie budzą spotkania z tzw. ciekawymi ludźmi i prelekcje TWP.

W Skarżysku sejmik był dużą imprezą. Robotniczy Ośrodek Kultury koordynuje działalność klubów zakładowych i świetlic, w ZDK studium wiedzy o kulturze gromadzi siedemset młodych ludzi, działy pracownicze ZM prowadzą tzw. małe formy aktywności kulturalnej, w sportakadach zakładowych w ub. roku wzięło udział sześć i pół tysiąca młodzieży. W szkołach jest 21 klubów młodych twórców, chcą zorganizować „Kluby dojeżdżających”, „Krag młodych twórców”. We wnioskach coś z życia: „dążyć do eliminowania w sporcie negatywnych zjawisk wychowawczych w dziecięco-młodzieżowym ruchu sportowym”.

Nie włączyliśmy do tych obserwacji studentów ani harcerzy, a środowiskowo na przykład hoteli robotniczych i internatów przyzakładowych. Interesowała nas tylko wieś i fabryka. Jesteśmy przez to bliżej jakiejś przeciwieństwa wieku animatorów tej akcji, młodzieży, bliżej problemu. Napisałam wyżej: niepokój, nadzieja czy zdumienie towarzyszyć winno refleksji. Jaki ton mógłby mieć tytuł „sejmikowanie”, „raz jeszcze uwierzyć”, „przejęcie władzy”, „czy to już było”?

Myślę, że jednak rozważny optymizm. To nie jeszcze jeden podział na kulturę młodzieżową, i nie podział na pracę i czas pusty po niej, cokolwiek zabity. Brak, jak dotąd, innej, tu na miejscu pomocy ze strony władz i nauki.

Kto w końcu na tej naszej wsi, która marzy o kinie objazdowym i pożyczka zacytany tam z kredensu społecznego bibliotekarza, zostanie, ile czy ile, jakich, po co lekarz ośrodka ma chodzić do klubiku, jeśli nie gna go misja i nie widzi w jego radzie partnera, ile młodych ludzi codziennie dojeżdża i ile wyjedzie na zawsze, i co z kolei znajdzie tam, w fabryce do której się przyjdzie? Jakże inwestycja kulturalna mamy dla wsi, skoro GOK-i, ich mit, dalsze są od niej niż dawne powiatowe czy nawet wojewódzkie poradnie? Młodzież powiedziała, językiem dorosłych, że jesteśmy za biedni, żeby nie tylko obywać się tanim, ale nie mieć nic. Na sejmikach są uwagi o sprzęt do tenisa, dyskoteki, nie ma postulatu zniesienia limitu na zakupy dla bibliotek, ani uwag o kształcie architektonicznym swojej okolicy. To naprawdę należy jeszcze do resortu.

Ale było o tym, jak warto żyć, o osobowości, dorastaniu do cywilizacji, skalach wartości, o etyce i to w kąśliwych może protestach, że chyba to nie tylko prelekcje o barach, drogówce, alimentach i dożywotkach, a zdrowie to nie tylko apokalipsa alkoholu i wenery.

Były już Kluby Młodej Inteligencji, były zloty Siłaczek i Judymów. Młodzież z tego wyrosła i dorasta. Jeśli mogą oni w dokumencie napisać: zobowiązuję się naczelnika gminy, znaczy, że wzięli się sami za siebie.

Może czekaliśmy właśnie na to?

IRENA JAROSZ

# Uczyć cwaniactwa czy dobrej roboty?

Leszek Kumański

**Na temat studenckich praktyk robotniczych pisałem kiedyś, że wzbudzały i wzbudzają nadal kontrowersyjne opinie, że można postawić pytanie: czego te praktyki bardziej uczą młodego człowieka — cwaniactwa, czy uczciwej roboty?**

**Twierdząc, że w tej formie w jakiej występują dotychczas, bardziej uczą tego pierwszego...**

Nikt nie neguje idei praktyk, która stawia sobie za wszech miar słuszny cel, nie tylko zapoznania młodych ludzi z wyżej wspomnianym wysiłkiem fizycznym, ale w równym stopniu, a może przede wszystkim, ze specyficznymi sytuacjami, których dotąd nie napotykali w swym życiu, lub napotykali bardzo rzadko, a w których przyjdzie im się, po opuszczeniu uczelni, znaleźć nie raz, życie nimi na co dzień. Szczególnie w przypadku studentów kierunków politechnicznych. Ci zresztą, z praktykami o podobnym charakterze, ale już zawodowymi, spotykają się będą także w trakcie kontynuowania nauki w wyższej uczelni. Między tymi typami praktyk, biorąc pod uwagę pytanie, które jest mottem tego artykułu — można postawić najczęściej znak równości.

Praktyki robotnicze traktowane są przez studentów jako zło konieczne, a ewentualne przypadki „odchylenia od normy” można uznać za wyjątki potwierdzające tylko regułę. Czyżby więc przyszli absolwenci politechnik i uniwersytetów obawiali się

zbrukać swoje wypieszczone dłonie uściskiem łopaty? Stwierdzenie absurdu! Po pierwsze, większość tych osób wywodzi się z rodzin, w których na taki luksus nie zawsze można było sobie pozwolić... Po drugie, jak zarabiają studenci na swe wyjazdy wakacyjne (oczywiście ci, których rodzice nie należą do wybrańców bożka Mamony), jeśli nie ciężką, fizyczną harówką? A więc gdzie leży powód, że student na praktyce zwykle obija się, byle tylko ją „odbębnić”, papierkiem stosowny dostać i powiedzieć: do nie widzenia!?

Jest kilka najważniejszych powodów, sprawiających, że młody człowiek w obliczu miesięcznej „zsyłki” do zakładu produkcyjnego traci nagle motywację do pracy. A przecież — powie ktoś — nie robi tego za darmo! Zresztą, wszystkie powody uzupełniają się wzajemnie tworząc w sumie pewien zamknięty krag. Zamknięty chyba tylko pozornie...

**Powód pierwszy: Na akord, czy na dniówkę?**

Srednio, po zakończeniu miesięcznej praktyki robotniczej,

student otrzymuje 700—1500 zł do ręki, niezależnie od tego, czy faktycznie pracował na 300, 500 czy 3000 złotych. Co z tego, że na umowach gwarantuje się pracę na akord, teoretycznie stwarzając możliwości wysokich zarobków, kiedy w rzeczywistości, na ogół, albo praca, którą student otrzymuje do wykonania, w akordzie jest mało płatna (kopanie rowów, dołów itp.), albo jak to często bywa, bezpośredni przełożeni w zakładzie, z góry już wiedząc, co i za ile wpiszą potem w rachunki i zlecenia...

**Powód drugi: Kierownik swoją prawdę ci powie...**

Kiedy student przychodzi do zakładu, delegują go do bezpośredniego przełożonego (majstra, lub brygadzysty), który może nim dowolnie dysponować. Przeznacza go oczywiście tam, gdzie brak chętnych do wykonywania jakiejś „czarnej roboty”. Jeżeli pracuje na budowie, to założmy — do transportu wapna. Obiecuje studentowi złote góry, więc ten łapie się chętnie za łopatę i macha dzień, dwa, trzy, aż wreszcie znajdzie się ktoś, kto studentowi wyperswaduje, że choćby tego wapna wydobył z dołka pięć razy tyle, to i tak leżąc w cieniu i czekając na dniówkę zarobi dwa razy więcej... A jeśli ktoś zechce mimo to pracować solidnie i uczciwie, to proszę bardzo! Dla samej satysfakcji! Bo najczęściej znajdzie się jakiś „mądry” kierownik, który wpisze w rachunki fikcyjne wywożenie gruzu, albo przesypanie piasku z kupki na kupkę. Dlaczego...?

**Powód trzeci: Dmuchany materac pod i zimny prysznic nad głową...**

...to właśnie nagminny obrazek studenta na kwaterze w czasie odbywania praktyk robotniczych. Może i trzeba przyzwyczajać ludzi do tak twardego, dostojnego i w przenośni, warunków, ale bez przesady. Nie odzwyczajamy ich chociaż od podstawowych wymogów sanitarno-higienicznych. Znośnie jeszcze jest, gdy zakłady posiadają hotele robotnicze dysponujące kilkuosobowymi pokojami, sprzętatkami oraz od czasu do czasu ciepłą wodą w kranach... W większości jednak przypadków przedsiębiorstwa nie potrafią zapewnić praktykantom takich luksu-

sów, skazując ich na gromadne koczowanie w prywatnych kwaterach, zwykle mało, lub wcale nie przystosowanych do swej funkcji. Co roku, w wakacje, prasa informuje o bałaganie jaki w tym względzie panuje, kierownicy odpowiedzialni za to umywają ręce, komendanci praktyk ręce rozkładają w gestach bezradności, dziennikarze piszą sążniste artykuły, a poprawy nie widać.

**Powód czwarty: Dyrektor popatrzył i odjechał...**

Są takie zakłady, w których przyszli inżynierowie zasypują przez miesiąc rury, „odfajkowując” w ten sposób swoje praktyki zawodowe (!!). Do jednego z takich zakładów (mającego swą budowę za granicą!) przyjechał dyrektor przedsiębiorstwa, natknął się przypadkiem na wypoczywających praktykantów i stwierdził raczej niż zapytał: nie macie co robić? Faktycznie! Pokiwał głową i odszedł pospiesznie.

**W jaki sposób ci studenci trafili do tego zakładu? Dlaczego?**

Przedstawiłem powyżej cztery główne przyczyny, które decydują o tym, czego będzie się uczył młody człowiek w czasie odbywania praktyk robotniczych.

Cóż, kiedy w otoczeniu bezhołwia organizacyjnego, towarzyszącego jakże często praktykom robotniczym, pośród ignorancji i lekceważenia ludzi przychodzących po naukę, przez ludzi którzy tej nauki powinni udzielić, student uczy się i owszem, ale zamiast uczciwej roboty — cwaniactwa.

Sytuacja się nie zmienia, dopóki nie stworzymy stałej i faktycznej współpracy na linii uczelnia — zakład pracy, regulującej nie tylko sprawy zapłaty za wykonywaną pracę, ale również, w nie mniejszym stopniu, problemy organizacyjne, godziwego zakwaterowania i wyżywienia studentów. W innym przypadku, w obliczu praktyki, student — nie ludźmi się — będzie wybierał częściej „miganie się” od pracy, niż uczciwą, solidną robotę, choć wie dobrze, że pracować solidnie może i potrafi, choćby u prywatniarza, przy budowie domków jednorodzinnych...



**D**onoszę obywatelu redaktorze, że każdy pracuje jak może („a ty znaczy od kiedy przestałeś pracować i zająłeś się pisaniem”) — zapytał mnie spotkany przypadkowo w pociągu kolega z czasów naszej wspólnej praktyk dekarckiej. Każdy pracuj jak może, bo jak nie może to oczywiście nie pracuje, prowadząc pasożytniczy tryb życia. Co za szczęście że mojego kolegę z czasów praktyk dekarckiej nie ma w składzie komisji trudniącej się bezskutecznie od dobrych kilku lat ustalaniem definicji pasożytnictwa. To wielki błąd taka długoletnia bezskuteczność jako że każdy funkcjonariusz bez definicji bezradny jest jak małe dziecko. Co zrobisz pasożytniowi bez definicji? Nic. Wiadomo. Bez definicji to choć pasożytnicy są — są w taki sposób jakby ich nie było.

Chociaż... Zaraz, zaraz. Przecież całkiem niedawno czytałem w „Życiu Warszawy” informację o najnowszej prawnej wykładni pasożytnictwa, którą opracował Sąd Najwyższy przy okazji kolejnej procesowej okazji: „Osobą prowadzącą pasożytniczy tryb życia jest taki sprawca przestępstwa, który mimo możliwości nie kontynuował nauki, lub, będąc zdolny do pracy uchylał się od niej, a środki na swe utrzymanie uzyskiwał sprzecznie z zasadami współżycia społecznego”.

Warto przyrzeć się tej definicji bliżej. Pasożytem — powiada Sąd — jest przestępca, który... Stop! Który — nieważne. Ważne, że przestępca. Bo to znaczy, że, za przepraszaniem obywatela redaktora, pasożytem jest tylko frajer. Ktoś, kto dał się złapać. Nawet więcej: ktoś, komu przestępstwo udowodniono.

Sąd patrzy na pasożytnictwo po swojemu, społeczeństwo po swojemu. Odpowiedzi na pytanie, czy ktoś jest czy nie jest pasożytem, udzielają nie tylko sędziowie (pasożyt popełniający przestępstwo powinien spodziewać się, jak alkoholik, surowszego wymiaru kary), ale i np. sąsiadki pilnie obserwujące życie małych zbiorowości i wydające osąd we właściwych sobie kategoriach moralnych. „Pasożytem jest ten, kto środki na swe utrzymanie uzyskuje sprzecznie z zasadami współżycia społecznego”. Zasady współżycia są różne. Zależne od środowiska (moralność drobnomieszczańska różni się znacznie od zasad obowiązujących — założmy — w środowisku starych robotników wielko-przemysłowych), od okoliczności. Wasz donosiciel zdaje sobie dobrze sprawę, że łamie zasady współżycia obowiązujące w jego bloku zamieszkałym przez ludzi pracujących od — do, spożywających posiłki od — do i śpiących od — do, wstając kiedy inni się kładą, stukając na maszynie kiedy inni śnią smacznie, itd. A ponieważ nocne stukanie na maszynie jest sposobem mojego zarabkowania łączny ten i ów dojść może do wniosku, że oto czerpie środki sprzecznie z zasadami współżycia.

**A**le tu na szczęście przychodzi Waszemu donosicielowi z pomocą Sąd Najwyższy, ustalając że lege artis, oficjalnie, zarzucić można mi będzie pasożytnictwo dopiero wtedy, kiedy popełnię jakieś przestępstwo z k. k. Ukradnę, zamorduję, zacznę znęcać się fizycznie lub moralnie nad tęciową. Wspaniałe uczucie swobody daje pewność, że w razie czego do oficjalnego, obowiązującego orzekania: jestem czy nie jestem pasożytem — powołani będą wyłącznie sędziowie, ludzie, jak ich znam, na ogół inteligentni. A nawet czasem — oryginalni. Jak pewien mój znajomek z Sądu Okręgowego, który przysięga, że nigdy nie podwyższy kary prostytutce, przyjmując (jak to się czasem zdarza), iż prowadzi ona pasożytniczy tryb życia.

— Bo widzisz, wiele złego można zarzucić tym paniem, świadczącym wiadome usługi; jednakże nikt rozsądny nie naubliża im bzdurnym zarzutem jakoby „środki na swe utrzymanie czerpały niezgodnie z zasadami współżycia seksualnego”.

Dobrze więc stało się, że wrzawa wokół rzekomej konieczności uchwalenia ustawy o pasożytnictwie społecznym uichła. Że uznano za wystarczające oddać sądom sprawę ustalania

**Stefan Kozicki donosi:**

## Kto z czego żyje?

kto i jak czerpie środki, temperując namiętności jakże licznych amatorów w tym względzie, zawsze okrutnie ciekawym kto z czego żyje. Co i tak na ogół jest z góry wiadome, bo jak dobrze poskrobać to z reguły okazuje się, że gros środków jest z boków. Z chałtur, fuch, prac zleconych i ryczałtów, których potępiać nie ma sensu, jako że stanowią swego rodzaju bodźce wyzwajające ukryte rezerwy energii, talentu, możliwości.

Znacie dobrze, obywatelu redaktorze, reporterów będących zdrowym trzonem redakcji „Przemian”. Sami powiedzcie: czy ci reporterzy z reportaży żyją? Może i poniektórzy żyją, ale jeśli tak, to żyją w nastroju artystyczno-estradowym. Śpiewają. I to cienko.

A ci, co nie mają głosu lub śpiewać nie chcą, zajmują się do wszystkiego. Tak jak wasz donosiciel zajmujący się jako felietonista. Albo Barbara Seidler, autorka znanych książek reportaży o tematyce sądowej, która pozwoliła sobie może na uprawianie reportażu nie tyle z powodu posiadania męża filmowca produkującego pokupne dramy historyczne w rodzaju „Pana Wołodyjowskiego” i „Trędowatej” (Seidler jest znaną emancypantką), ile raczej z powodu wykonywania własnej pracy zleconej polegającej na układaniu tekstów do komiksów. I to nie byle jakich Eksportowych. Tu czuję się w obowiązku donieść, że stajemy się nie tylko potęgą stalowniczą na skalę światową, o czym wszyscy wiedzą dzięki rozpropagowaniu budowy huty „Katowice”, ale również, o czym wie niewielu, komiksową potęgą, zarzucającą tzw. Zachód (USA nie wyłączaając) obrazkowymi historiami własnej roboty. Znając pracowitość mojej koleżanki po piórze, nie wykluczam, że i na tym odcinku uda się nam doścignąć i prześcignąć najbardziej rozwinięte kraje. Szczególnie po powrocie autorki naszych eksportowych tekstów z podróży do USA, w którą wybiera się właśnie w celu podpatrzenia tajemnic przodującej technologii komiksowej.

**P**rawdę powiedziawszy to i ja, obywatelu redaktorze, chętnie bym coś do komiksów popisał. W związku z czym ośmielam się złożyć propozycję: może by tak w Waszym Organie jakiś kącik lub rozkładówkę komiksową uruchomić? Zakładając oczywiście, że akcja komiksów toczyłaby się na Kielecczyźnie i propagowała właściwe społeczne postawy.

Apropos: wprost nie mogę się powstrzymać przed doniesieniem ob. redaktorowi o treści pisma nadesłanego na mój adres przez Związek Literatów: „ZG. Oddziału Warszawskiego ZLP zaprasza niniejszym do udziału w konkursie na zwięte hasło, propagujące rolę i zadania Totolotka. Zależy na podkreśleniu funkcji społecznych tej instytucji jak zarazem możliwości wygranych. Ilość nadsyłanych haseł nieograniczona. Podpisano: E. Kurowski, sekretarz Klubu Pisarzy Sportowych”.

Obawiam się, że żaden z pisarzy sportowych klubu pisarzy hazardowych jeszcze nie ma wymyślających zwięte hasła na cześć Totolotka nie ośmieli się pójść za przykładem dziadzia Wańkowicza, który w bardzo dawnych czasach,

kiedy to w Polsce brak było amatorów na kupno cukru, wziął pierwsze miejsce w podobnym konkursie zorganizowanym przez przemysł cukrowniczy, wymyślając dwa słowa: „Cukier krzepi”. A przecież hasło „Totek krzepi” byłoby dziś jak znalazł. Oddawałoby bez pudła to, o co najbardziej chodzą organizatorom konkursu uwypuklając właściwą rolę społeczną Totolotka. Rzeczywiście nastroje społeczne. Ducha czasu. Wiare w nasz szczęśliwy los. Totolotkowy.

Acha. Właśnie. Jak się Wam, obywatelu redaktorze, podoba taka nazwa wymyślona przez Waszego donosiciela: Wydział Ducha Czasu. Że nieprawdopodobna? Nic podobnego. Wysoka specjalizacja narastająca wraz z postępowaniem ją usprawiedliwia. Ma ona zresztą swoje realne odpowiedniki. Jak najbardziej z życia. Jestem ci ja na przykład w siedzibie kwatery Głównej ZHP Rozglądam się uważnie dokoła, łasy na coś, co przypomni mi czas, kiedym jako młodziak (hej, lza się w oku kręci!) bawił się w podchody i oto spostrzegam w pewnej chwili nazwę: „Wydział Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej”. O rany. Myślałem dotąd, że wszystko czym się nasze harcerstwo zajmuje, stanowi taką właśnie służbę. Jakże byłem naiwny. Teraz już wiem, że służbą dla dobra socjalistycznej ojczyzny zajmuje się w KG ZHP tylko jeden wysoce specjalistyczny wydział. Wydział, którego efektywność w pracy zależna jest zapewne — tak jak to normalnie w biurach bywa — od ilości etatów dla wysoko kwalifikowanych specjalistów. Pewnym pocieszeniem może być dla mnie (w kontekście poprzednich uwag) jedynie świadomość faktu iż obok zasadniczej etatowej pracy większość etatów podejmuje jakieś prace zlecone, chałtury, fuchy. Że działalność zawodowa polskich specjalistów nie kończy się na obszarze biura czy wydziału, że trwa również w godzinach pozabiurowych. Może tak samo postępują druhowie instruktorzy z Wydziału Służby Polsce Socjalistycznej? Może...

**P.S.** Z niejakim zdumieniem przeczytałem w pierwszym moim felietonie na łamach kwietniowego numeru „Przemian” tytuł (pochodzący od redakcji): „Fatalny Kubuś”. Zdumienie wynikło stąd, że jako żywo nie pisałem o żadnym fatalnym Kubusiu, ale o „Kubusiu FATALIŚCIE” — dziełku Diderota, które, przybrawszy obecnie postać spektaklu teatralnego okazało się zarówno dla teatru jak dla widzów wielce szczęśliwe, co wyklucza jakąkolwiek fatalność. Zdumienie przerodziło się w smutek i trwogę, kiedym doszedł w lekturze do przypisku, określającego w taki oto sposób twórczość literacką Włodzimierza Sokorskiego: „Wśród krytyków W.S. uchodzi za jednego z pierwszych naszych pisarzy”. Ponieważ określenie to, które powinno brzmieć w istocie: „W.S. uchodzi za jednego z najjurniejszych naszych pisarzy” nie tylko samo w sobie stanowiło pewien dowcip, ale także pozwalało zrozumieć czytelnikom nieobznajmionym w niuansach literackich inny dowcip ukryty w słowach cytowanego wcześniej Putramenta, mój smutek i trwoga wymagają w ramach przyzwolonej moralnej satysfakcji opublikowania co najmniej tego tu postscriptum — sprostowania. Że o koniaku gruzińskim nie wspomnę.





białka zwierzęcego. Jedynie ludność krajów wysoko uprzemysłowionych: St. Zjednoczonych, krajów Europy Zachodniej, Ameryki Anglosaskiej, Australii, Japonii i kilku innych krajów kapitalistycznych — spożywa dostateczną ilość białka.

# Ziemia musi rodzić

przemiany  
13



roślinności, wypalaniem sawann i pastwisk oraz wypalaniem i karczowaniem lasów. Zastosowanie środków ochronnych i profilaktycznych może zabezpieczyć rolnictwo przed utratą uprawnych gruntów oraz podnieść w wielu wypadkach ich żyzność i wydajność.

Zastosowanie nawozów sztucznych również podniosło wielkość produkcji pól rolnych. Obserwujemy to w krajach stosujących nawozy mineralne od wielu lat, jak Holandia, Dania, Szwecja, Francja, RFN, Polska, Czechosłowacja i inne. Jednakże użycie nawozów sztucznych nie jest równomierne w różnych krajach świata. Cały świat zużywa rocznie około 60 mln ton co daje zaledwie 50 kg na 1 ha. Ale podczas gdy Holender czy Japończyk wysiewa 400 kg nawozów na 1 ha, to w większości krajów rozwijających się albo wcale, albo niewielkie ilości.

Według Guerrina zastosowanie nawożenia gleb we właściwych, zgodnych z nauką rozmiarach, pozwoli nam zwiększyć produkcję roślinną na świecie o blisko 40 proc. To zwiększenie odbędzie się głównie na obszarach krajów rozwijających się (o 80 proc.), natomiast Europa i Ameryka Północna zbliżają się już do pułapu swoich możliwości.

### Skutki zwiększania produkcji roślinnej

Istnieją tutaj jednak poważne obawy. Chodzi mianowicie o to, że obfite nawożenie nawozami mineralnymi może spowodować zmniejszenie się pokarmowej wartości produktów roślinnych. Niektórzy uczeni (A. Howard) w

wypadku monokulturowej gospodarki przewidują, że „używanie nawozów mineralnych jest zamachem na zdrowie gleby, roślin i ludzi”. Na razie jednak świat odczuwa brak i to dotkliwy mineralnych nawozów.

W związku z tym, aby zaspokoić potrzeby żywnościowe ludności świata w 2000-nym roku, trzeba wyprodukować trzy razy więcej nawozów niż w roku 1970. Ale tutaj wyłania się problem następujący: czy zasoby podstawowych pierwiastków potrzebnych do produkcji nawozów sztucznych na globie ziemskim wystarczą i na jak długo? Mamy na myśli azot, potas i fosfor.)

Azot otrzymywany drogą chemicznego wiązania azotu z powietrza oraz drogą wiązania go przez mikroorganizmy — jest elementem odnawialnym. Odbywa dość szybki obieg w przyrodzie. Zapasy tego pierwiastka są bardzo duże. Natomiast potas i fosfor nie mają już tak szybkiego obiegu. Jednakże zapasy potasu na świecie są olbrzymie i wystarczą na długi okres czasu.

Gorzej przedstawia się problem zapasów fosforu. Co roku wody zmywają 3,5 mln ton fosforu do mórz i oceanów. Po wielu milionach lat, osady fosforowych związków z dna oceanu zostaną wydźwignięte na powierzchnię lądów. Aby jednak nie czekać na siły natury, ludzkość winna wcześniej zająć się eksploatacją złóż fosforowych z dna oceanów.

Coraz szersze stosowanie nawozów sztucznych zakłóca normalny obieg pierwiastków w przyrodzie: tlenu, węgla, azotu potasu, fosforu i wielu innych.



Zmienia też proporcje ich występowania w glebach, wodach, roślinach, zwierzęcych organizmach. Powoduje to groźbę niebywałych komplikacji w świecie żywych organizmów.

Nawozy sztuczne ulegają przecięt splukiwaniu przez wody, przedostają się do wód gruntowych, rzek i następnie do zbiorników wody: jezior i mórz. W ten sam sposób przedostają się wody ścieków fabrycznych (przemysłowych) i komunalnych oraz chemiczne ścieki trujące stosowane w ochronie roślin uprawnych. Wody gruntowe, jeziorne i morskie ulegają stałemu zatrutowaniu.

Nadmierna ilość azotu w wodzie pitnej zakłóca zdolność obiegu tlenu we krwi.

Groźniejszym zjawiskiem jest wytrącanie z wody i gleby rzadkich pierwiastków, które są tak niezbędne dla roślin, jak witaminy, dla organizmu ludzkiego. Są to takie rzadkie elementy, jak magnez, mangan, żelazo, najczęściej wytrącane z gleby i z żywych organizmów przez potas. Brak magnezu, to zmniejszona produkcja związków chlorofilowych, gdyż w centrum pierścienia rolowego chlorofilu znajduje się jon magnezu.)

Znane są cierpienia wywołane brakiem jodu, seleniu, żelaza, itd. Są to choroby zwane geochemicznymi. Przy postępującym zanieczyszczeniu wód słodkich i morskich może nastąpić kryzys zdrowotny — niebywały rozwój chorób geochemicznych, m.in. raka.

Stałe nagromadzenie azotu i fosforowych związków w wodzie słodkiej zakłóca jej normalny cykl pokarmowy. Rozwijają się nadmierne glony, które pozabawiają wodę tlenu. W następstwie giną ryby i inne organizmy potrzebujące tlenu dla rozwoju. Zbiornik taki zamiera, zamienia się w martwą, cuchnącą kałużę brudnej wody. Takim przykładem „martwego zbiornika” jest jezioro Erie w Ameryce Północnej.

Na pewno splukiwanie i znośnienie nawozów sztucznych do zbiorników wodnych wzmacnia proces nadmiernego nagromadzenia składników odżywczych dla organizmów (eutrofikacja) w wodzie. Jest to zagrożenie bardzo ważne, ponieważ zmienia o-

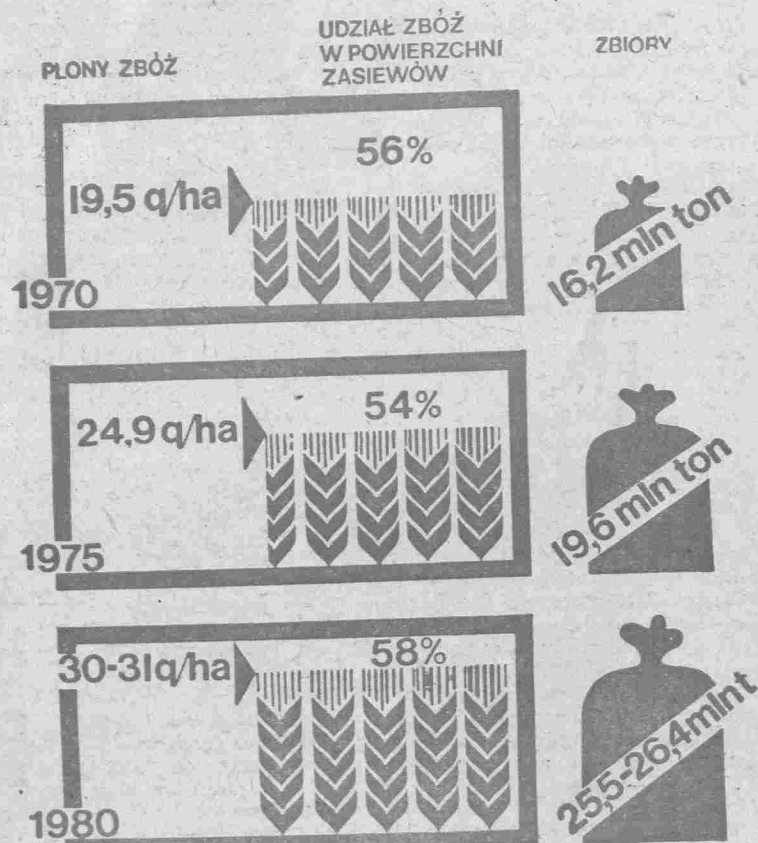
no również cykle obiegu energii i materii w środowisku wodnym.

Najpoważniejszą troskę powodują jednak środki chemiczne trujące stosowane w ochronie roślin. Herbicydy, pestycydy, fungicydy — zatruwają biosferę, zakłócają cykle obiegu materii i energii, zagrażają zdrowiu i życiu człowieka, wielu organizmów roślinnych i zwierzęcych. Znane są szkodliwe skutki stosowania DDT, Aldrinu i innych środków owadobójczych i bakteriobójczych.)

Jednakże ochrona roślin i zwierząt, to wzmoczenie przyrostu produkcji żywności. Musi być stosowana. Dla uniknięcia ujemnych skutków chemizacji, nauka poszukuje biologicznych metod zwalczania chorób i szkodników, chemicznych nieszkodliwych metod i wreszcie wyhodowania odmian odpornych na choroby i szkodniki. Są to trudne zadania, gdyż świat organizmów potrafi się skutecznie bronić przed ingerencją ludzi z zewnątrz. Ma ku temu środki: samoregulację, adaptację i samoorganizację.

Najsukcesowniejszym środkiem zapewniającym dłuższą perspektywę dla przyrostu ludności byłaby zmiana lub sterowanie klimatem. Ale to zadanie przerasta siły współczesnej ludzkości. Musielibyśmy bowiem opanować i sterować trzema potężnymi procesami klimatotwórczymi: obiegiem energii słonecznej, obiegiem wody i cyrkulacją atmosfery. A do tego nie jesteśmy jeszcze przygotowani.

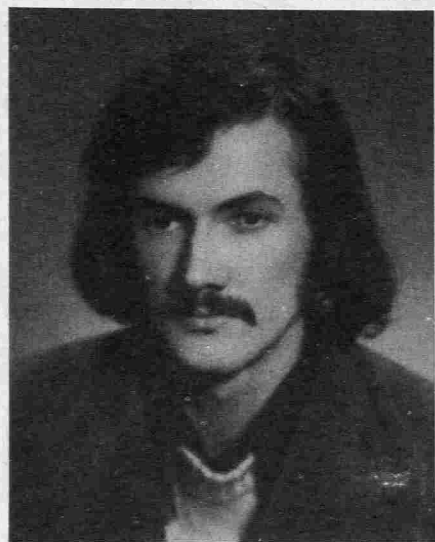
## WIĘCEJ ZBOŻA — WIĘCEJ ŻYWNOSCI



K A  
P W

- 1) Biosfera, praca zbiorowa, z j. ang., 1973 s. 262-269
- 2) P. Duvigneaud, Biosfera jako środowisko człowieka, 1975 PWRiL
- 3) Provisional Indicative World Plan for Agricultural Development. UN. FAO. Roma 1970.
- 4) The World Food Problem, Washington 1967 W.A. Kowda. Poczwiennyje resursy planiety w „Priroda” 8, 1974
- 5) Granice wzrostu, praca zbiorowa, 1973 PWE, s. 64-72
- 6) P. Gourou. Kraje tropikalne, z j. franc. 1973 PWN, s. 19-29
- 7) Duvigneaud P. Biosfera jako środowisko człowieka, 1975 PWRiL, s. 197-200
- 8) Biosfera, praca zbiorowa z j. ang. 1973 PWN, s. 175-202 i 203-235
- 9) J. Aleksandrowicz, Geografia szczęścia „Kierunki”, 23-30 XII 1973
- 10) A. Kowda op. cit., rozdział „Chemiczne samobójstwo”





**ZDZISŁAW ANTOLSKI** urodził się 16.I.1953 r. Studiuje Pedagogikę Kultu-ralno-Oświatową na kieleckiej WSP. Swoje wiersze publikował m. in. w „No-  
wym Wyrazie”, „Przemianach”, „Kame-  
nie”, „Okolicach”, w almanachach poe-  
tyckich i Polskim Radio. Przygotowuje do  
druku debiutancki zbiór wierszy.

W naszej epoce poeci mówią szeptem  
sami ze sobą prowadzą dialogi  
kilkoma językami równocześnie  
w różnych narzeczach emocji  
O miedzę strumienia słów  
żyją ich plemiona  
nic o sobie nie wiedząc  
Dzisiejsi poeci  
zachłystują się wierszem  
jakby chcieli powiedzieć  
wszystko naraz  
a kiedy nie potrafią  
rwią język na strzępy zdań  
jak żywe mięso  
tak żeby zabolął  
Współcześni poeci mówią szeptem  
tak cicho wstydliwie  
że słyszać tylko  
pojedyncze słowa

Marsz przez znajomy znużeniem  
labirynt miasta  
potykając się i zawracając  
na tarczy dnia  
obok białe policzki ścian  
o złuszczonej skórze tynku  
i oknach wyblakłych i mętnych  
martwe dźwięki i kolory  
zlewają się w szare tło  
W tym pejzażu na tym dworcu  
usiłujesz sobie przypomnieć  
błękitne żyłki  
na gładkiej powierzchni kamienia  
leżącego na dnie  
czystej strugi dzieciństwa

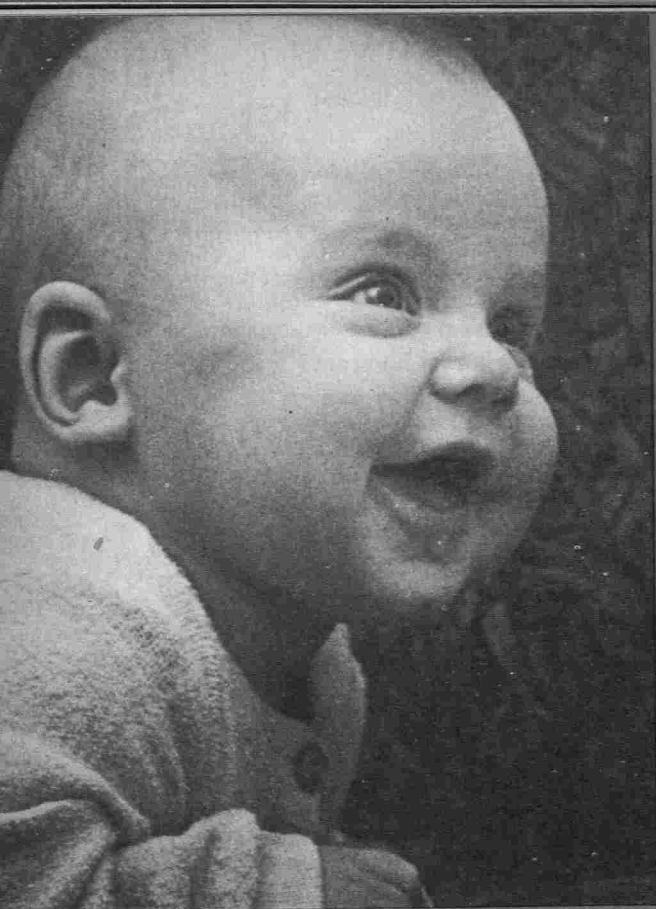
Obszar ziemi  
obwiedzione cyrklem słońca koło  
z palem przydrożnej figury  
wbitym w znikającą dal  
Tutaj galaktyka dzieciństwa  
nasycona aromatem wspomnień  
muzeum wzruszeń  
wielokrotnie zwiedzane we śnie  
Gdzieś tu nieznaną grób starego psa  
i wiernego kota  
w ogrodzie pod pomnikiem agrestu  
poległa armia żołnierzy  
zdradzonych przez naczelnego wodza

Dalej  
za rzeką za lasem  
za kolejowym torem horyzontu  
skąd tylko zawrót głowy tam  
**MIASTO**  
pełne bezsennych nocy  
gdy świtają dachy  
(bo miasto wbrew pozorom  
rzadko zabija nagle)  
Lecz jeszcze tutaj  
z latawcem chmury w dłoni  
ciepły oddech traw grzeje stopy  
obok biała i zmięta  
z rozmazanym tuszem  
bez tajemnic  
jak kobieta uległa  
wczorajsza stamtąd  
gazeta



*rys. H. Papierniak*





# DZIECI



Czytelnicy SŁOWA LUDU znają to nazwisko. Pojawia się pod większością zdjęć zamieszczanych na łamach kieleckiej gazety. ANDRZEJ PĘCZAŁSKI jest fotoreporterem prasowym od 1970 roku.

Urodzony 9.XII.1947 roku w Pińczowie, tamże w 1965 roku ukończył Liceum Ogólnokształcące im. H. Kołłątaja. Pracował na różnych stanowiskach związanych z PTTK.

Andrzej Pęczalski rozpoczął współpracę z kieleckimi redakcjami. Nadsyłane materiały i notki zwróciły uwagę redakcji na aktywnego korespondenta. W 1969 roku zainteresował się on poszerzeniem możliwości zbierania informacji przy użyciu aparatu fotograficznego. Szybko zainteresowanie utrwaliło się i hobby stało się zawodem już po roku uprawiania fotoreportażu.

Pęczalski aktywnie uczestniczy w życiu wystawienniczym, a za swoje prace fotograficzne był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany na wystawach w kraju, między innymi uzyskał I nagrodę na Dorocznej Wystawie STF w Kielcach w 1972 r., II nagrodę na Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Fotograficznej w 1975 roku w Tarnowie, Dyplom Federacji Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce na V Biennale Krajobrazu Polskiego w Kielcach w 1977 roku, ponadto brał udział w innych wystawach, w tym w Wystawie XXX-lecia Fotografii Prasowej w Warszawie oraz we wszystkich wystawach Grupy 10x10 w Kielcach.

Wystawy indywidualne: „PIŃCZÓW” — wystawa fotografii krajoznawczej w 1970 roku, „KOZIENICE” — esej fotograficzny o ludziach elektrowni, w 1972 roku w Kozienicach, „AFGANISTAN W FOTOGRAFII” — fotograficzny plan wyprawy odbytej z kieleckimi naukowcami — zebrany w formie wystawy (Kielce 1974 rok).

W 1970 roku A. Pęczalski wstąpił do Świętokrzyskiego Towarzystwa Fotograficznego, a od 1975 roku jest członkiem i pełni rolę współorganizatora działalności Grupy 10x10 powołanej przy Delegaturze Związku Polskich Artystów Fotografików w Kielcach.

PAWEŁ PIERŚCIŃSKI

Z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka zamieszczamy wybór fotografii Andrzeja Pęczalskiego.





## WERSZ NIEKONKRETNY

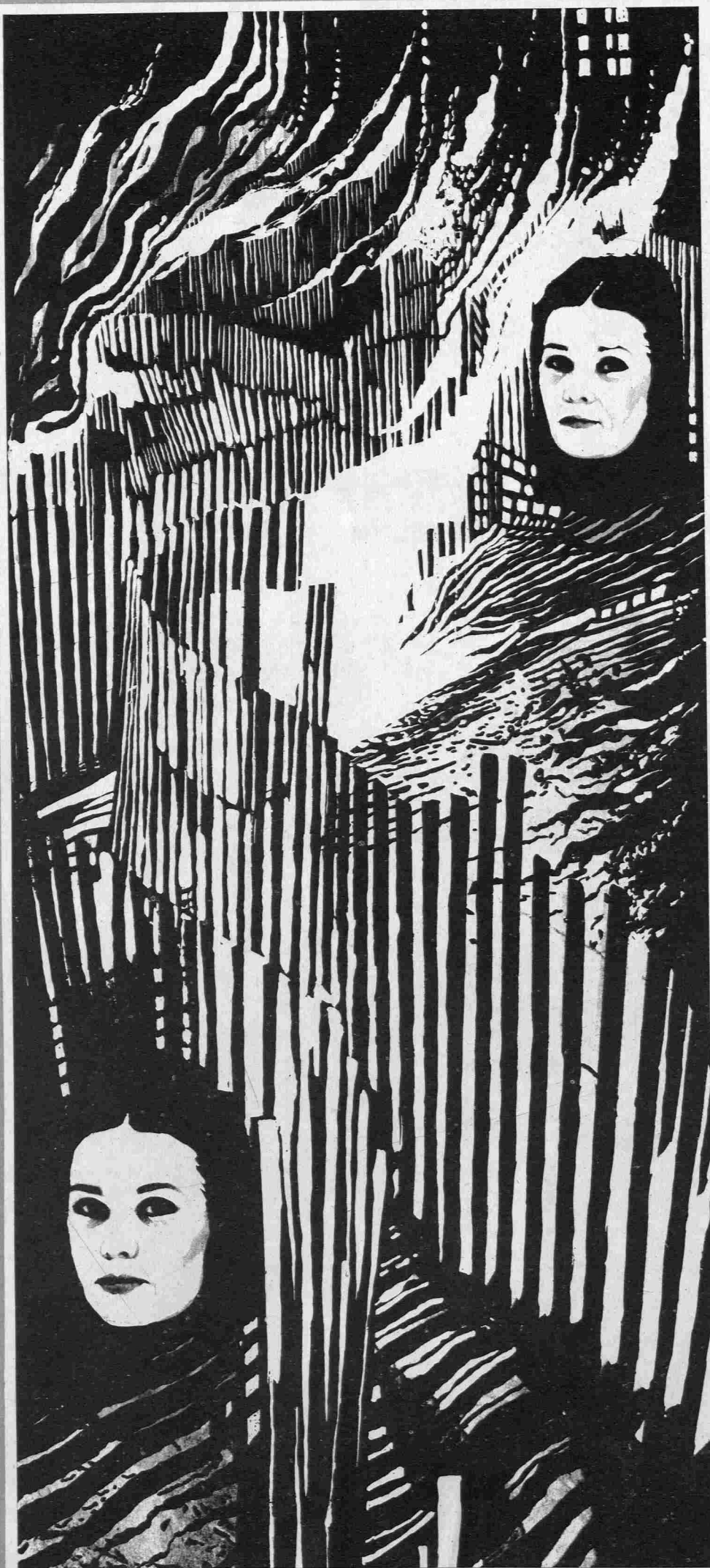
Prowadzimy tę grę  
z konieczności  
z przypadkiem (przypadkowo)  
z nienazwanym w nas  
nieznany obok  
Popelniamy błędy  
czasem mamy szczęście  
codziennie od nowa  
tworzymy rytuały  
dopasowujemy się do reguł  
z niejasnym przeczuciem  
że skądś znamy te ułomne formy  
że coś tu brzmi fałszywie  
Przebrani płacząc bólem  
na pocieszenie pozostaje im  
zawsze pozostaje im  
luksus teoretycznych możliwości  
ten komfort  
ten obłąd

## NIESPEŁNIENIE

Byłem wtedy zupełnie małym dzieckiem  
w samo południe biegłem  
pylistą drogą  
za podrzucaną wiatrem  
kartką papieru  
Już wyciągałem dłonie  
kiedy kartka pofrunęła  
na wysokość drzew  
i znikła  
w tumanach kurzu  
Byłem wtedy zupełnie małym dzieckiem  
nie potrafiłem czytać  
ale wydało mi się  
że na kartce zapisany jest  
niezwykle ważny tekst  
Jeszcze dziś  
budzę się w nocy  
z ustami pełnymi słów

## PLANETARIUM

Przez kilka lat  
chodziłem do planetarium  
jego wyniosła kopuła  
miała wiele powagi  
i budziła zaufanie  
Wchodziłem do planetarium  
pełen nabożnego lęku  
jak początkujący ministrant  
podchodzący do stóp ołtarza  
Kosmos jest pociechą  
— rozmyślałem wzniośle —  
dla naszych udręczonych mózgów  
trzeba opuszczać  
zagrożone mieszkania  
porządkować beznadziejnie  
zaplątane życia  
niech kosmiczny przeciąg  
oczyści stajnię Augiasza  
naszych myśli!  
Pewnego dnia dokonałem  
wstrząsającego odkrycia:  
każdy ład jest odmianą chaosu  
każdy porządek jest jedną z jego form  
Nie ma ucieczki — myślę  
Nie trzeba myśleć — mówię



rys. H. Papierniak



## Wspomnienia z Tryzonii (II)

Srogim opresjom poddany był Eros w Kriegsgefangenschaft. A przecież milki całkowicie tylko w okresach głodu, kiedy to śnił miły namiętny podług recepty, jaką mitologia grecka przepisała Tantalowi, z tą jednak różnicą, że ów słynny cierpiętnik sięgał nadaremnie po owoce południowe, my natomiast po talerze barszczu, michy ziemniaków ze słoniną i pęta kielbasy. Jeśli dzięki paczkom od krewnych z Polski, albo od Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wiodło nam znośnie, fantasmagorie nasze syciły się, niczym pokusy starożytnych pustelników egipskich, kobiecymi krągłościami wbrew kilkunastogodzinnej pracy w dzień, wbrew nieprzespanym wskutek alianckich nalotów nocom i wbrew — choć to o wiele mniej pewne — środkom farmaceutycznym, którymi zaprawiano w kuchni lagrowej napój nasz powszedni, zwany popularnie „ziółkami” lub „miętą”. (Nie nowina to dla podchorążych sprzed wojny, pamiętam, że w SPRA we Włodzimierzu Wołyńskim mówiło się pół żartem, pół serio: „Sodą gaszą miłość naszą”).

Zadurzyłem się w Irce wyżej u-  
szu. Zanim jej to wyznałem, na-  
pomknąłem w rozmowie z kapita-  
nem Jasińskim, niby mimochodem,  
że ma ona grottigerowską główkę.  
Obruszył się na mnie z humorem:

przyjaciółek barwami — lecz. Czyż  
można się dziwić, że na polu rze-  
czywisty, na polu baśniowy rycerz  
opanował serce Irki bez reszty? Po-  
wierzyla mu siebie, zanim go uj-  
rzała.

# Eros wyzwolony

Świętosław Krawczyński

— Grottigerowską?! Jeżeli tak  
uważasz, to nie do mnie mów o  
tym! Do niej mów, nałwiecniku!!

Zachęta przełożonego dodała mi  
odwagi. Zdybawszy kiedyś Irkę na  
trasie poobiedniego spaceru po  
mieście, jednym tchem cisnąłem  
jej pod nogi wszystko, co do niej  
czułem. Nie sprawiło jej to ani  
przykrości, ani satysfakcji, jak-  
kolwiek zlekceważyła moich oś-  
wiadczeń nie mogła. Powiedziała  
wręcz, że nie powinienem na nią  
liczyć i odeszła w swoją stronę.  
Zmartwiony i zbity z pantałyku,  
przy najbliższej okazji sam na sam,  
chyba w biurze, z Niusią, której  
tolerancję i przychylność dla mnie  
zdążyłem już wcześniej ocenić,  
spytałem, co o postępowaniu Irki  
sądzi. Niusia odparła rzeczowo, że  
Irka jest zakochana na śmierć i  
życie w kims innym. W kimże  
więc?! — nastawałem, póki Niusia  
nie zdradziła tajemnicy, że w jej  
bracie. Brat ów w opowiadaniach,  
szeptanych przez Niusię Irce na  
ucho w kazamatach na lwowskich  
Brygidkach i później na pryzach  
w Ravensbrück, przybrał stopniowo  
postać herosa, pogromcy wrogów i  
wybawiciela uciśnionych. Dzięki  
niemu cierpienia stawały się lżejsze,  
rozpacz mniej dolegliwa, a na-  
dzieja poczęta zabarwiać ohydną  
szarość lagrowej roślinności obu

Oczywiście, to, co piszę, odpo-  
wiada zaledwie w ogólnym zarysie  
temu, co słyszałem od Niusi przed  
trzydziestu z górą laty. Ile zawdzię-  
czam pracy swojej wyobraźni? Bez  
wątpienia wiele, bardzo wiele. Dla  
przykładu: nie potrafię nawet zdać  
sobie sprawy, czy Niusia przedsta-  
wiła mi brata, gdy pewnego po-  
południa przyjechał niespodziewa-  
nie do Northeim, by ją zobaczyć i  
uściskać. Zabawił krótko, parę  
godzin, nie miała chyba ani czasu  
ani ochoty na zapraszanie znajo-  
mym, choćby i bliskim. Ale na-  
stępnego ranka drżała jej mocno  
głos i na policzki wystąpiły wy-  
pieki, bo z entuzjazmem opowia-  
dała nam, biurowym współpracow-  
nikom, o szczęściu, jakie jej dobry  
los zesał.

Właśnie ten szczegół pamiętam  
niezle, jakkolwiek znam go tylko —  
jak mówią prawnicy — ex auditu.  
Otóż wskutek rozłąki, trwającej  
badaj od września 1939, i zmiany  
polskiego munduru na battle-dress,  
obraz brata załaził się w percepcji  
Niusi tak dalece, że go nie roz-  
poznała. Tak mniej więcej sobie  
przypominam relację Niusi:

— Wchodzi do naszego pokoju  
wysoki, piękny oficer, wyciąga do  
mnie ramiona, a ja nie wiem kto  
to jest. Wodzę po nim wzrokiem,

przecieram oczy, zastanawiam się,  
nic nie pojmuję. On też milczał  
przez długą chwilę, po czym oboje  
równocześnie padliśmy sobie w  
objęcia.

Brat Niusi był kapitanem wojsk  
pancernych i stacjonował wówczas  
na wybrzeżu Morza Północnego,  
gdzie polskie dywizje z przydziału  
od Brytyjczyków objęły część Nie-  
miec w okupację. Przyrzekł sio-  
strze, że zabierze ją wraz z Irką  
na ten teren, załatwiwszy związane  
z tą translokacją formalności. Ja-  
koż po upływie niewielu dni obie  
opuściły Northeim Jeepem, dostar-  
czonym przez kapitana. Czy był po-  
raz drugi w Northeim? A jeśli był,  
czy z nim się zetknąłem? Nie przy-  
pominam sobie. Umiem jednak  
myśleć o nim jako o sprężystym,  
świetnie prezentującym się żołnie-  
rzu, godnym miłości Niusi i Irki  
nie tylko dlatego, że walczył pod  
Tobrukiem, w Italii i pod Falaise.  
Nie mnie się z nim równać...Praw-  
dopodobnie oglądałem jego foto-  
grafię w pełnej gali, którą dał Niu-  
si.

Bolesnie przeżyłem rozczarowa-  
nie. Ponieważ jednak — jak to za-  
obserwowali już koledzy ze studiów  
na UJ i UW — jestem niby kot z  
„Księgi Dżungli” Kiplinga, który  
chodzi własnymi drogami, wnet  
przetarłem sobie ścieżkę ku dziew-  
częciu o imieniu Magdzia. Być  
może, działa się to jeszcze przed  
wyjazdem Niusi i Irki z Northeim,  
być może później. Gdyby ktoś wy-  
foczył przeciwko mnie zarzut, że  
niedosć wytrwale i wiernie zabie-  
gał o przychylność Irki, odpowie-  
działbym: żyliśmy wtedy znacznie  
szybciej i znacznie intensywniej niż  
w normalnych warunkach, bo każ-  
dy z nas miał do odrobienia og-  
romne zaległości... Pomny na au-  
gustyjską formułę: „Amans amare  
amavi”, utrzymywałem i utrzymuję  
nadal, że przedkładałem uczucie nad  
osobę, do której je żywiłem. Ro-  
mantyzm? Jasne, że romantyzm.  
Dopóki czułem się młodo, nikt nie  
wnosił o to do mnie pretensji, a  
na starość mogę z czystym sumie-  
niem zapewnić kogo trzeba i nie  
trzeba, że nie postępowałbym ina-  
czej, gdyby mi jakimś cudem uby-  
ło nagle pół wieku. Taką formację  
psychiczną reprezentuję i uważam  
to za ostateczne wytłumaczenie.

Niusia i Irka — jeśli się nie my-  
lę — osiadły wśród kobiet w Ober-  
langen, w koszarach, słynących  
wówczas w Tryzonii z urodziwych  
i chętnych do zamęczenia amazo-  
nek. Istne kawałki byłyby jeńców  
zjeżdżały się tam, by spróbować  
szczęścia. Na tle tej ogólnej i  
trzęsotawej wesołości Irce się  
nie wiodło, bo brat Niusi nią się  
nie zajmował. Nie podobała mu  
się. A po pewnym czasie zdarzył  
mu się wypadek drogowy, gdy pę-  
dził motocyklem szosą. Stwier-  
dziwszy, że obie jego nogi uległy  
zmiażdżeniu, czy może odcięciu,  
w odruchu rozpaczyny wydobyl z  
kabury pistolet i pozbawił się ży-  
cia.

Jesienią 1945 r., już w Wetzlar,  
dostałem od Niusi list, bym do niej  
i do odrętwiałej z bólu Irki przy-  
jechał. Nie spełniłem tej prośby.  
Przyznać muszę, że wstyd mi, cho-  
ciaż nie pamiętam już, jakie racje  
mną wówczas kierowały.

Nostalgie mitosne jeńców, lata-  
mi szukały ujęcia. U mnie i u  
większości moich kolegów, znalaz-  
ły je dopiero po wyzwoleniu, w  
Northeim. Ale kto by sądził, że to  
była eksplozja, myliłby się, tłuma-  
cząc zawile procesy nazbyt mecha-  
nicznie. To było jak rozkwitanie.  
Każdy z nas bowiem, chroniąc swe  
intymne chęci i chętki w sejście pod  
sercem, by ustrzec je od intruzów,  
pielegnował i hołubił w nim znacz-  
nie więcej pragnień ciepła, niż  
apetytów na zaspokojenie popędu.  
A ponadto dla kobiet i dziewcząt,  
z którymi nas wówczas los zetk-  
nął, czuliśmy głęboki szacunek,  
ponieważ część ich należała do  
bojowniczek z powstania warszaw-  
skiego, część zaś do więźniarek  
lagru w Ravensbrück. Myny nam  
przy nich z tej racji rzędy, jako  
że z jeńcami z kampanii wrześnio-  
wej wojna obeszła się znacznie  
łaskawiej. Mimo to oni im, ani  
nam nie powstało wcale w głowach,  
by licytować się wzajemnie prze-  
bytym cierpieniem, patriotyzmem,  
czy wyrozumiałością. Podobnie jak  
my, oswobodzone z niewoli kobie-  
ty łaknęły nade wszystko dobroci,  
bo dobroć jest dla duszy tym,  
czym chleb dla ciała.

Chyba następnego dnia po przy-  
byciu do Northeim grono kolegów,  
do których między innymi zaliczani  
Adasia Piotrowskiego, Stefana  
Broszkiewicza i Staszka Krzyżania-  
ka, skumało się towarzysko z gro-  
nem dziewcząt z powstania. Jed-  
na z nich, dziewczyna o błada błon-  
dynka, zagięła na mnie parol, nie  
wzbudzając wzajemności. Gdy po  
pewnym czasie zapadła na zdro-  
wiu, zresztą niegroźnie, odwiedzi-  
łem ją w szpitalu miejskim. Z  
wizyty tej pamiętam tylko tyle, że  
na wyraźne życzenie dziewczęcia  
niosłem ją w górę po schodach  
przez dwie bodaj kondygnacje.  
Chociaż opłótło mi wdzięcznie szy-  
ję ramionami, skąpo okrytymi, nie  
czułem żadnych wzruszeń, jakby  
trzymał w rękach manekina. Na  
swoje usprawiedliwienie dodam, że  
w ową słoneczną niedzielę zainte-  
resowania moje pociągnęły piękne sku-  
piły się już na Irce.

Irka odnosiła się do mnie obo-  
jętnie, by nie rzec: wyniośle. Czyż-  
by na zasadzie rewanżu za kru-  
szynę z Warszawy, garncząc się do  
mnie nawet w chorobie? Koincy-  
dencja to na pewno przypadekowa,  
ponieważ dziewczyny nie znają się,  
ale dzięki niej wydarzenia nie  
związane ze sobą uzyskały pewien  
rytm, tym bardziej, że po paru  
tygodniach także Irka znalazła się  
w sytuacji podobnej, jakkolwiek o  
wiele poważniejszej i bardziej dra-  
matycznej.

Znajomość z tą promienną, acz  
tegawą dziewiętnastolatką, zawar-  
łem wkrótce po utworzeniu biura  
prawnego, jako, że Irka była ser-  
deczną przyjaciółką Niusi, naszej  
sekretnicy. Siostrzane przywiązanie  
tych dwojga istot wytrzymało okru-  
tne próby, jakimi gnębiła je woj-  
na. Niemcy zgładzili męża Niusi  
i rodziców Irki (zdaje się — leka-  
rzy), po czym wtrąciwszy obie do  
więzienia poddawali torturom. Po  
tej gehennie pobyt w obozie w Ra-  
vensbrück był dla nich poprawą  
losu.







Może — o jeografii, obyczajach i ustroju ojczyzny z Marcinem Kromerem, który swymi dziełami „O pochodzeniu i dziejach Polaków”, „Polska, czyli o położeniu, obyczajach, urządach Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego” nazwanych „wspaniałą apologią Polski, jej wielkości i sławy” — „objawił nas światu”, jak powie sam Stanisław Orzechowski, nawet się wyjątkowo nie skrzywiwszy na sutannę autora.

Marcin Kromer, spychany w cień przez sławę tamtego czasu: ultra-katolickiego i proniemieckiego Stanisława Hozjusza, autora „Confessio fidei Catholicae Christiana”, przyjaciela miał we Franciszku Krasieńskim. Biskup nie lubił Hozjusza, który mu dobrze zalał za skórę, gdy był posłem w Rzymie i ciągle pisał na podkanclerzego skargi do króla. Bo — a to Krasieński odpisywał panu posłowi za krótko, a to za rzadko, a to za rozrzutnością napominał, a to pana posła „zbyt mało tytułował w adresach”... Uff! Jakże triumfował pan poseł Hozjusz — a potem już biskup warmiński, gdy Krasieński podpisał konfederację „de religione”. Jemu zawsze biskup Krasieński zdawał się być osobą przedziwnie „na heretyki łaskawą”. Podejrzewał Krasieński że gdyby Hozjusz miał moc inkwizycji — nie jeden grzeszny stosik pod niejednym „heretykiem” był zażęgi.

Nie miłował tedy biskup krakowski biskupa warmińskiego, za to wielbił Kromera i wzdychał: „Panie Boże daj, abyśmy

tak godnych siła mieli”. Któż tam pamięta dziś, że to Kromer — nie Rej pisząc „Rozmowy dworzanina z mnichem”, był pierwszym w historii naszej literatury prozakiem. Któż dziś sięga po jego opowieści — o Polsce „Xiąg dwoje”, które przełożył z łaciny Władysław Syrokomla?

A jest czym się udelektować! Choćby porównaniami z dzisiejszym dniem.

Otóż, według Kromera, w XVI-wiecznej Polsce, której „kształt jest jakby łuku”, „taka moc zimna bywa, iż drzewa marzną z korzeniami, a woda z góry wylana zaczem do ziemi doleci w lód się ścina”. W tem Królestwie „zimowych chłodów” i letnich susz, żyją ludzie, śnieg i zboże zarazem przypominający, bo „cera ich jest niemal biała, włos płowy, bardziej światły, siła i zręczność ciała n. pospolita”. Odzieżają się z przepychem, gdy ze szlacheckiego rodu — w „złotogłowi, aksamity, perły”. Dzieciwice dawnym obyczajem głowy nieokryte zdobią do wyjścia złotymi wienkami, drogiemi kamieniami, kwiatami, ziołami...

Rysy charakteru narodowego? „Umysły Polaków są otwarte i ładne, zdolniejsze być oszukani niż oszukiwać (...) Polak jest towarzyski, grzeczny, uprzejmy i skory do gościnności (...), giętki do przejmowania i naśladowania obyczajów tych, z którymi żyje, zwłaszcza cudzoziemców”.

Wojaze zagraniczne? „Z narażeniem się na nędzę i niewygody, chętnie idą podróżować, gdyż

im się rzeczy obce lepiej od swoich podobają”.

Młodzież? „Wychowanie młodzieży jest swobodne i nieco zaniedbane, czego źródło w przyrodzonej dobroci narodu”.

Praca, nauka? „Nie brakło u nas ani przedtem ani teraz mędzów biegłych w naukach, przenoszących nad potrzeby i wygodę życia, żądze naukowego przysługiwania się społeczności”...

Plagi społeczne? — „Pijństwo, które zarówno jest pospolitym u panów i urzędników i ludu”!!!

Hm! Jakby tu rzec. Sam Marcin Kromer za kołnierzyk sutanny wylewać nie lubił.

„Miodom wybornym, z wonnych traw i ziół zbieranym” osobny działek w swej książce poświęcił. Był człowiekiem ciepłym, jowialnym, wesołym. Gustował, ku zgrodzie snobistycznego Hozjusza, w towarzystwie starego błazna Gąski... Gdy zjeżdżali razem do Bodzentyna — ożywał się zamek, pogodniał kaszlący biskup, który tylko tu, patrząc na wysokie góry i odziały lasy” naprawdę odpoczywał. W powietrzu „przezystym, nieskazitelnym”, chłonąc je resztką płuc, które nieubłagane zżerała gruźlica.

Był zmęczony. Nie tylko wielkie dni miał za sobą, lecz setki tych uciążliwych, żmudnych, szarych, kiedy pilnował różnorodnych transakcji międzynarodowych, wydobywał od opornych bankierów spadek po królowej Bonie, czuwał nad całą siecią posłów polskich zagranicą, z którymi miał istne urwanie gło-

wy, bo ten był za skromny, tamten za „zębaty”, a ów dwom panom na raz służył. Dbał o Akademię Krakowską, finansował studia zdolnej młodzieży za granicą, reorganizował pocztę polską, upaństwowiając ją, fundował szpitale i domy ubogich, ba — decydować musiał nawet w takich sprawach — gdy jakiś agent chciał jechać do Ciepliec na kurację, a jakowyś Żyd zabiegał o koncesję na tłoczenie oleju...

I raz wyrwało mu się szczerze „iżby drugi wołał w szewce, niż w kapłaństwie”.

Zmęczony, szarpany przez mochnych dewotów za konfederację „de religione”, nie miał już siły witać u granic Rzeczypospolitej nowego jej sternika a starego znajomego z Wiednia — Stefana Batorego. Tylko, gdy król wyruszał na wyprawę, by zgnać karkki pysznych Gdańszczan, którzy nie chcieli go uznać, umierający już biskup posłał mu w sukurs wspaniałą oddział husarii, własnym wystawionym sumptem.

Husarze Krasieńskiego walczyć będą zwycięsko u boku Batorego wśród „puszcz osędziących, żywica pachnących pod Pskowem”, jak pisze Żeromski i widzieć będą płomienie Wielkich Łuków. Ale fundator pocztu już się o tym nie dowie. Umrze w marcu — miesiącu dla gruźlików nieubłagany — roku 1577. W Bodzentynie.

Wykuto mu tam w marmurze epitafium szumne. Lecz najpiękniejsze znajdziemy w jednym z ostatnich jego listów: „Myśli moje zwracał się i zwracać się będą stale ku Rzeczypospolitej, aby w szczęśliwości trwała”.

## MUZYKA

# Dziennik zjazdowy

Włodzimierz Kutrzeba

Niedziela, 17.IV.1977

Do Warszawy przyjazd trochę wcześniej niż wypadałoby to z harmonogramu. Długi spacer obowiązkową trasą: Filharmonia, Towarzystwo Chopinowskie, Krakowskie Przedmieście, Zamek, Teatr Wielki, Zachęta, Hortex (coś dla ciała — wreszcie), siedziba SPAM na Kruczej. Jestem jako jeden z pierwszych. O 17-ej zaczyna się właściwie VIII Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków.

W sali prezydenckiej biura ZG spotykamy się z z-cą kierownika Wydziału Kultury KC, tow. Mileckim. Są też przedstawiciele MKiS. Prezes ustępującego zarządu stowarzyszenia — Stefan Sutkowski — informuje o podstawowych problemach, jakie w ubiegłej kadencji stawał ZG, które rozwiązywano, a które tylko udało się określić jako wyraźne mniej czy więcej kierunki działania. Dyskusja toczy się m.in. wokół zagadnień krytyki i publicystyki muzycznej, delegaci podkreślają wiele słabych i ciemnych niekiedy stron tej działalności. Horyzont dyskusji rozszerza się coraz bardziej. Coraz więcej spraw okazuje się jeszcze nie dotkniętych nawet pobieżnie. Czas jednak rozpocząć zapowiedziane wcześniej „spotkanie towarzyskie”. Przechodzimy, przenosimy się z naszymi rozmowami na szersze forum. W sali klubowej już tłoczno i gwarno. Zadajemy sobie wszyscy pytanie o treści i formy ich wypowiedziania na oficjalnie już jutro rozpoczynającym się zjeździe. Panuje przekonanie, wiara w zwycięstwo linii zdrowego rozsądku. Choć trudno ukrywać — w poprzedzającym zjazd okresie poważne różnice poglądów na kierunek przyjęty

przez ZG w kończącej się właśnie kadencji podzieliły opinie delegatów na — zasadniczo biorąc — dwa, różnych orientacji, ale i na szczęście, różnych wielkości stronnictwa.

Poniedziałek, 18.IV.1977

Kuluary zjazdu. Obszerna sien dawnego Pałacu Prymasowskiego. Sklepione korytarze, kręcone schody, wreszcie sama sala obrad — w sedlonych i kremowych tonacjach. W pełnej z nimi zgodzie soczysta zielen sukna okrywającego stoły, wokół których za chwilę zasiądą delegaci. Dobra nasza — myślę — zieleni to kolor nadziei... A wszystko wypełnione dostojnym szumem, wyciszonym kulturą gwarem rozmów o sztuce, różnej zresztą, np. o sztuce robienia kariery przez X czy Y, albo pieniędzy przez A czy B (normalnie nazywa się to plotkami, inaczej — przepływem informacji), ale i rozmawia się o wszystkim innym też — jak zwykle w życiu bywa.

Z nagle pojawiających się oklasków wiadomo, że to już. Wchodzą goście honorowi zjazdu — przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, wicepremierem i ministrem kultury i sztuki — tow. Józefem Tejchmą oraz kierownikiem wydziału kultury KC PZPR — tow. Lucjanem Motyką. Dalej — przedstawiciele Komitetu Warszawskiego partii, władz stołecznych, delegacje „bratnich” związków i stowarzyszeń twórczych, członkowie ZG SPAM.

Po wszystkich niezbędnych tu ceremoniach zabiera głos tow. Tejchma. Nie potrzebuje pisać, z jaką uwagą słuchaliśmy tego wystąpienia. W przemówieniu szefa resortu kultury, jak i we wszystkich późniejszych oficjalnych i nieoficjalnych, roboczych głosach w dyskusji, przewijała się stale wciąż ta sama myśl, dominował mimo wielu, bardzo wielu jeszcze spraw do załatwienia, klimat optymizmu. A podstawą do takiego właśnie, jasnego spojrzenia w przyszłość, stanowi — zdaniem nas wszystkich — zasada partnerstwa i współodpowiedzialności, rzetelnej dyskusji i rzeczywistego dialogu między, z jednej strony — resortem, z drugiej zaś — reprezentantami dorosłego do takiej współpracy środowiska.

Od 15-ej obrady w sekcjach. Radzimy w Sekcji Pedagogów m.in. nad eksperymentem w szkolnictwie muzycznym (coż za bałagan — ktoś zainicjował przemysł, skierował do realizacji; winnych brak). Efekty pracy Sekcji Pedagogów w ubiegłej kadencji są imponujące. Dziesiątki spotkań roboczych, ustaleń, wizyt, inicjatyw w realizacji (np.: kursy mistrzowskie w Łanucie). Jest jasne, że wypracowany sposób działania jest słuszny i bezwzględnie trzeba go na-

dal kontynuować, wzbogacać o nowe pomysły, rozwijać.

Od 18 znów obrady plenarne. Potem wreszcie zaczynają się wybory. Siła by tu pisać. Walka była ostra — krzyżowały się argumenty i spojrzenia... Dziwnym dla mnie trafem dostaję się na listę wyborczą. Może to i dobrze. Głosowanie.

Wtorek, 19.IV.1977

Ogłaszają wyniki wyborów. Najwięcej „punktów” uzyskali: Stefan Sutkowski, prezes ZG ubiegłej kadencji i prof. Brzewski — jego zastępca, równocześnie szef Sekcji Pedagogów. Oddecham z ulgą. A więc wszystko poszło tak, jak pójść powinno. Następują gratulacje i powinszowania. Potem przerwa — władze się konstytuują. Prezesem ponownie zostaje Sutkowski, sekretarzem generalnym — Borys Frydychowicz, przewodniczącą Komisji Kwalifikacyjnej — prof. Irena Dubiska.

Było jeszcze sprawozdanie Komisji Wnioskowej, znów dyskusje i wreszcie nadszedł czas zamknięcia obrad. Przedtem jeszcze zabiera głos prof. Kazimierz Wilkomirski, honorowy prezes SPAM. Swoje wystąpienie w znacznej części poświęca ludziom, którzy stanowią o sile i znaczeniu stowarzyszenia. Któregoś codzienna, mroźna praca czyni jego obecność w polskiej kulturze muzycznej czymś ważnym. Któregoś energia i twórcza myśl ożywia i aktywizuje siły skupione w niezbyt przecież, jak na organizację bądź co bądź ogólnopolską, licznej grupie członków. Profesor Wilkomirski ma rzadko dziś spotykany dar pięknego słowa. Dar — to zbyt mało powiedziane. Pewnie, że bez tego oratorskiego talentu największe nawet pokłady erudycji nie ujrzałyby światła dziennego. Ale i nie o erudycję tu idzie. Słuchając tego ostatniego już większego przemówienia, na własnej skórze — w przenośni i dosłownie, odczułem tę najgłębszą radość płynącą z bezpośredniego kontaktu z głęboką myślą w pięknym formalnym kształcie wyrażoną ustami człowieka, co przynależąc wiekiem do dawnej formacji, przez aktywną swoją do dzisiaj postawę, może być pięknym przykładem nowego typu polskiej inteligencji drugiej połowy XX stulecia.

Pod duchowym przywództwem takich członków honorowych jak Wilkomirski, jak Iwaszkiewicz, jak Belza i Malcużyński, a pod bezpośrednim kierownictwem tak roztropnych, świadomych i — jak to powiedział prof. Wilkomirski — „zabiegliwych” sterników spamowskiej „nawy”, jacy z woli ogółu zostali wybrani na VIII Zjeździe naszego stowarzyszenia, możemy z ufnością i nadzieją stawiać do naszych warsztatów muzycznej pracy. Byłe starczyło sil.



# Obecność

(rozmowa ze Zbigniewem Kurkowskim)

— Czy patrząc z własnej perspektywy — może pan określić cele swojej twórczości?

— Jest to pytanie raczej kłopotliwe, a nawet bym powiedział podchwytliwe. Cel, cel... nie jest to takie proste do określenia, co innego, jeżeli ktoś ma ten cel wytyczony tak od razu i może dążyć do niego, jest to zupełnie inna sytuacja, inna sprawa, niż w moim przypadku. Obawiam się, że to pytanie nie jest sprecyzowane w sensie sztuki czy twórczości, bo można analogicznie spytać np. aktora — jaki ma cel?

— Ale przecież muszą być jakieś cele, którymi kieruje się pan w swojej twórczości...

— Może nie mówmy tak, że ja mam cel, do którego dążę, po prostu malując obrazek, taki czy inny, w danym momencie ten cel dopiero sobie stawiam. Ja w tym obrazku, który obecnie namalowałem widzę następny, który dopiero będę robił. To co zrobiłem i robię jest pewnym etapem, zamkniętą sprawą, która — tak mi się wydaje — w jakimś sensie jest sprawą otwartą w sensie dalszych dokonań i tak się to wszystko zajeżdża... Nie jest to sprawa oderwana, jest to jakiś ciąg działań, które nie mają końca i czasami leżą nawet w podświadomości. Zupełnie się z tym zgadzam, że pewne, nawet życiowe sytuacje, mogą mnie całkowicie obrócić w inną stronę i nie obawiam się tego, że nagle np. zacznę malować tylko obrazki czarno-białe, pomimo tego, że — jak niektórzy twierdzą — jestem niezłym kolorystą.

— Jako artysta ma pan szeroką wyobraźnię, stąd też nie będzie panu sprawiało kłopotu wyobrazić sobie rok 2077; jak pan by ocenił twórczość kieleckiego artysty plastyka Zbigniewa Kurkowskiego w roku 2077? Dziś pan go ocenia jako dobrego kolorystę, a za sto lat?

— No, ciężka sprawa, trudno mi powiedzieć. Zaskoczył mnie pan tym pytaniem. Raczej dość pesymistycznie jestem do tego ustosunkowany... Być może zajmie się mną ktoś w rubryce pt.: „Ocalić od zapomnienia”...

— W takim razie może bardziej konkretne pytanie — jak opisałby pan swój styl pracy?

— Własny styl pracy, no nie chciałbym powiedzieć, że jest dość nietypowy, ale... Mnie się wydaje, że ten własny styl pracy wynika z jednej rzeczy, z samego wewnętrznego zapotrzebowania na pracę właściwie co dzień. Doskonałością byłoby, gdyby można było codziennie poświęcić X godzin pracy tzw. twórczej, co w naszych układach jest niemożliwe. W związku z tym staram się raczej malować jakimiś okresami, w pewnych momentach; przykładowo — mnie się świetnie maluje na wiosnę, wtedy, kiedy wszyscy idą na spacer, ja wówczas z chęcią siedzę w pracowni i właśnie w tym czasie maluję. Bardzo lubię też jesień, natomiast lato dla mnie jest makabryczne do malowania, po prostu nie lubię w lecie malować i właściwie najmniej obrazów w życiu namalowałem chyba w lecie.

— Czy potraktowałby pan to jako zarzut, że maluje pan na zamówienie, przykładowo — jakaś instytucja leca panu cykl portretów ludzi dobrej roboty?

— Ależ skąd! Wprost przeciwnie; uważam, że jest to czasem nawet bardzo potrzebne. Twierdzę, że jest to jakiś moment pozytywny i twórczy. Kiedy mówimy o tzw. sztuce współczesnej, o sztuce tego lotu górnego, to nagle zatraciło się w ogóle pojęcie portretu.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — pan malując na zamówienie nie przestaje być twórcą, czyli dla pana nie ma różnicy, czy maluje pan na zamówienie czy też z własnej inspiracji twórczej?

— Oczywiście, że tak. Owszem, mogę mieć pewne kłopoty, mogę się mniej czy bardziej męczyć przy tym, po prostu codziennie tego nie robię, ale to sprawia mi pewną satysfakcję w momencie, kiedy zrobię i sam dojdę do wniosku, że jest to moim zdaniem zrobione dobrze.

— W tej wypowiedzi częściowo wyraził pan pewien pogląd na sztukę współczesną, chciałbym pana zapytać szerzej — co pan sądzi o polskiej plastyce współczesnej?

— Wydaje mi się, że ogólnie rzecz biorąc obecnie w polskiej sztuce współczesnej jest naprawdę dobrze, chociaż na każdej wystawie, nawet ogólnopolskiej, znajdują się pewne rzeczy, które są — mo-

wiąc szczerze — pewnym nieporozumieniem, jednak ogół dokonań jest bardzo interesujący. Zaczynamy się różnić od innych i sami między sobą. I to jest bardzo dobre...

— Może prowokacyjne pytanie — jaka jest pana reakcja na sukcesy odnoszone na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat?

— Reakcja jest jedna, po prostu lęk, lęk przed tym, żeby nadążyć i nie wyskoczyć z szyn. Chodzi o to, by na bieżąco uzasadniać te sukcesy. Sukcesy naprawdę zobowiązują i o tym wciąż należy pamiętać. Gdy opuszczę jakąś wystawę, mam potem pewne wewnętrzne niezadowolenie, poczucie winy, że mogłem wystąpić, że się spóźniłem, nie zdążyłem na termin, nie zrobiłem.

— Gdyby miał pan udzielić rady młodemu człowiekowi, który poważnie myśli o twórczości plastycznej i ma ku temu zdolności, co by mu pan powiedział?

— Żeby nie robił za szybko po studiach wystawy indywidualnej — to jest jedna rzecz, bo jak wyjść to już z czymś; a druga sprawa — przez ten czas do wystawy i — rzecz jasna — później, trzeba nieśteły pracować, robić, tworzyć na okrągło, to jest jak w sporcie.

— A jak ocenia pan młodych, najmłodszych — myślę o naszym środowisku kieleckim?

— Mnie wydaje się, że myśmy mieli nieco trudniejsze wejście do



środowiska, trudniej było się jakoś zaklepać, zameldować, od razu zafirmować i udowodnić pewne swoje racje. Nam trudniej było, przypuśćmy, od razu po skończeniu studiów wejść na wystawę czy dostać nagrodę, natomiast te młode roczniki, które w tej chwili wychodzą z Akademii, od razu wchodzą w środowisko, kończą studia i wchodzą, dostając od razu nagrody.

— Z tą teżą dyskwaliifikacją, przecież za nic nie dostają tych nagród, z pewnością dokumentują to własną twórczością...

— Oczywiście, ale to już zupełnie inna historia.

— Co pan sądzi o obowiązku malarza wobec tworzącego i wobec szeroko rozumianego odbiorcy?

— Tworzywo... Wychodzę z jednego założenia — jeśli ktoś maluje czy robi obrazy (może je sklejać, rzeźbić, budować; no, przeróżne są możliwości) i wszystko, co robi jest dobre, to uważam, że nie ma żadnych zobowiązań w rodzaju, że musi robić to tak, a nie inaczej. Jednakże twierdząc nadal, że jeśli ktoś maluje tradycyjnie, to jednak musi utrzymywać pewną konwencję tradycyjną w sensie technicznym, tzn. że płótno musi być jednak zagruntowane, przeklejone i to kilkakrotnie, po prostu musi być warsztatowo dopięte. Stosunek do odbiorcy... Jest to również niezależność.

— W ciągu ostatnich lat uprawiał pan i uprawia w zasadzie prawie wszystkie dyscypliny plastyczne, a ostatnio doszła nawet fotografia, chcę więc zapytać — która z dyscyplin plastycznych jest panu najbliższa? Którą dyscyplinę pan najbardziej ceni i którą pan najbardziej lubi? To są dwie różne rzeczy — bo można coś cenić, a nie lubić...

— Wydaje mi się, że w tej chwili najbardziej zajmę się naprawdę fotografią, z tym, że fotografia jest dla mnie tylko pewną odskocznią do spraw malarskich, rodzajem myślenia, a może nawet źródłem inspiracji. Mnie fotografia nie interesuje sama w sobie, jako zdjęcie czegoś, tylko ciekawi mnie jako montaż, collage czy komentarz. Fotografię często traktuję jako punkt wyjścia do spraw malarskich — po prostu fotografia zwiększa moje możliwości plastyczne.

— Inaczej mówiąc — zamienia pan tradycyjny szkielet na aparat fotograficzny, tubę kleju i noż...

— Tak jest — to jest najprostsze określenie.

— Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ADACH ZYCH



Zbigniew Kurkowski „Dokąd lecisz dziewczyno? dokąd pędzisz młodzieńcze?” (olej).

Fot. Henryk Pieczul



Jak uczy się teatru młodzież szkolna? Wiadomo, że różnie, nie najlepiej. Program języka polskiego dla szkół licealnych nie gwarantuje nawet minimalnego zapoznania uczniów z dziejami i tajnikami sztuki teatralnej. Pół biedy, gdy znajdzie się polonista (lub nauczyciel innego przedmiotu), który po prostu kocha teatr i potrafi zaszczerpieć tę miłość swoim wychowankom. Wtedy przynajmniej część uczniów sięgnie do historii

teatru i dramatu, do książek traktujących o tej dziedzinie sztuki. Na ogół jednak sytuacja jest odwrotna. Poloniści nie mają czasu na zajmowanie się teatrem i dbają głównie o realizację programu z zakresu językoznawstwa i literatury. Skutek taki, że szkoły średnie opuszczają młodzi ludzie z maturą w kieszeni, ale teatr kojarzy się im mgliście z poniedziałkowymi wieczorami w telewizji.

Czy jest szansa na uzdrowienie tego stanu rzeczy? Jest i to poważna. Tę szansę stanowi 10-letnia powszechna szkoła średnia, przed którą właśnie stoimy. Na szczęście nie zapomniano o teatrze w Instytucie Programów Szkolnych Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Pierwotnie zakładano, że w 10-latkach znajdzie się osobny przedmiot pn. wiedza o kulturze współczesnej, w ramach którego mieściłaby się także nauka o teatrze. Ale przedmiotu tego w 10-latkach nie będzie. Po prostu nie ma kadry pedagogicznej, która zapewniłaby odpowiednie prowadzenie zajęć lekcyjnych. Stąd elementy wiedzy o teatrze muszą znaleźć się w programie nauczania języka polskiego. Jakże zajmą w nim miejsce? Otóż program nauczania języka polskiego w klasach IV–X zawiera się w trzech zasadniczych działach: językoznawstwo i kultura języka, nauka o literaturze oraz elementy wiedzy o teatrze, filmie, radiu i telewizji. Jeśli bliżej przyjrzeć się projektowi nowego programu, to okaże się, że sprawy teatru zajmują w nim niebagatelne miejsce.

Wprowadzenie do wiedzy o teatrze będzie się odbywać już w klasach I–III. Dzieci mają oglądać i omawiać widowiska teatralne (również za pośrednictwem telewizji), w tym także przedstawienia teatrów lalkowych. Nauczyciele będą organizować w tych klasach gry dramatyczne i małe formy inscenizacyjne. Ponadto już najmłodszych uczniów przygotowywać się będzie do pracy nad słowem (technika czytania, recytacja, czytanie z podziałem na role). Warto zaznaczyć, że elementy wiedzy o teatrze znajdują się również w programach innych przedmiotów, np. wychowania muzycznego, czy wychowania plastycznego (scenografia, dekoracja teatralna, kostium aktora, teatr lalek).

Natomiast systematyczne zajęcia na temat teatru rozpoczną się w klasie IV. Teraz uczniowie będą już musieli oglądać widowiska teatralne, muszą brać czynny udział w przedstawieniach, poznać mechanizm działania

teatru. Tylko co mają zrobić nauczyciele i uczniowie w szkołach oddalonych od najbliższego zawodowego teatru o dziesiątki kilometrów? Autorzy projektu proponują następujące rozwiązanie: „Należy korzystać z dostępnych w danym środowisku szkolnym wartościowych pod względem wychowawczym i artystycznym przedstawień teatru zawodowego (lalkowego, teatru żywego słowa, teatru telewizji i teatru radia) i amatorskiego (również teatru szkolnego) — przede wszystkim przedstawień opartych na tekstach objętych kanonem lektury”. Jest to jedyne realne wyjście z sytuacji. Już w klasie IV w lekturze obowiązkowej ma znaleźć się opowiadanie biograficzne o Helenie Modrzejewskiej oraz takie tematy, jak — baśń o teatrze, słuchowisko o tema-

## Teatr w szkole

Tadeusz Wiącek

tyce baśniowej, utwór literacki a widowisko teatralne (na przykładzie baśni), rodzaje widowisk teatralnych (teatr lalki, teatr żywego słowa, teatr telewizji). Ponadto recytacje poezji i prozy, próby ustnego opisu obejrzanych widowisk teatralnych, itp.

W klasie V lekturą obowiązkową będzie „Balladyna” oraz opowiadanie biograficzne o Leonie Schillerze, a wśród tematów — dramat, jako rodzaj wypowiedzi odmienny od narracyjnego, dramat i jego realizacja sceniczna, twórcy widowiska teatralnego, itp. Dalej recytacje poezji i prozy, gromadzenie i wyjaśnianie terminów teatralnych,

próby inscenizowania fragmentów dramatycznych. W klasie VI: „Zemsta”, druga część „Dziadów” i opowiadanie biograficzne o Stefanie Jaraczu. Tematy dochodzą już zajęcia fakultatywne związane z wiedzą o teatrze. W klasie VII cztery lektury obowiązkowe: „Antygona”, „Odprawa posłów greckich”, „Romeo i Julia” albo „Makbet”, „Świętoszek” albo „Skapiec”, a jako lektura uzupełniająca — „Cyd” Corneille’a. Tematy: dialog, jako jedna z form dramatu, rola teatru w życiu społecznym średniowiecza, cechy dramatu szekspirowskiego, teatr baroku, itp. W klasie VIII już siedem lektur obowiązkowych („Kordian”, „Nieboska komedia”, „Śluby panieńskie”, trzecia część „Dziadów”, „Powrót posła” i inne) oraz cztery uzupełniające (m.in. „Hamlet”, „Zbójcy”). Tematy: powstanie sceny narodowej i jej znaczenie, dzieła romantyków w teatrze dawnym i współczesnym, adaptacja i inscenizacja tekstu literackiego, widowisko teatralne w telewizji, itp. W klasie IX tylko jedna lektura obowiązkowa („Wesele”) i sześć uzupełniających („Moralność pani Dulskiej”, „Pigmalion”, „Dzika kaczka”). Tematy: teatr naturalistyczny, znaczenie wielkiej reformy teatralnej, jej przedstawiciele (E. G. Craig, A. Appia), przykłady inscenizacji, dramat symboliczny, itp. Ponadto próby adaptacji scenicznej tekstów literackich, scenariusze przedstawień szkolnych, projektowanie elementów inscenizacji na podstawie scenariusza. Wiele tematów zajęć fakultatywnych. W klasie X cztery lektury obowiązkowe: „W małym dworku” Witkacego, „Niemcy” Kruczkowskiego, „Dwa teatry” Szaniawskiego, „Kartoteka” Różewicza i dwie uzupełniające (Pirandello, Szaniawski) oraz „Flirt z Melpomeną” Boya-Zeleńskiego.

Oczywiście podałem tu tylko skromne fragmenty z projektu nauczania wiedzy o teatrze w szkole 10-letniej. Ale nawet te wycinkowe fragmenty świadczą, że propozycje są ambitne, na miarę szkoły powszechnej w ostatnich latach XX wieku. Dopiero niedawno projekt ten poddany został publicznej dyskusji. I naturalnie znaleźli się teatrolodzy, którzy poddali go gruntownej krytyce. Autorom projektu zarzucano głównie — nadmiar erudycji i zbyt wysoko ustawioną poprzeczkę. Proponuje się zrezygnowanie z lekcji o Craigu i Appii, milczenie na temat Grotowskiego, itp. Nie zgadzam się z tymi zarzutami. Przecież już dzisiaj uczniowie III klasy licealnej zapoznają się z teatrem Craiga. Przed dziesięcioma laty ukazała się dwutomowa książka o teatrze Grotowskiego w... Meksyku, a u nas absolwent 10-letniej szkoły powszechnej ma nie wiedzieć o Teatrze Laboratorium? Wychodzę z założenia, że im bardziej bogaty, wszechstronny program edukacji teatralnej w szkole, tym większe szanse na pełniejsze zainteresowanie młodzieży sztuką teatralną. Nawet wtedy, gdy program ten nie będzie zrealizowany przez nauczycieli w stu procentach. Trzeba bowiem pamiętać, że optymalnie najlepszy program niczego nie złatwi. W szkole wszystko zależy od umiejętności, talentu, zaangażowania nauczycieli, od przygotowania ich do zajęć na temat teatralny. Te prawdy są niezmiennie i ciągle aktualne.



Jedną z ostatnich premier w kieleckim Teatrze im. Stefana Żeromskiego była „Mimika” Wojciecha Bogusławskiego. „Sztuka ta jest w nowym guście napisana”. Styl piękny. Intryga zwięzła. Bufonada szlachetna”. Spektakl przysposobili: Maria Chwali-bóg, Henryk Giżycki i Teresa Worono. Reżyserował Jacek Strama. Scenografia Jerzego Jaruga. Muzyka Bronisława Opalko. Występują: Anna Skaros i Jan Parandyk (na zdjęciu).

Fot. Jerzy Jaruga



**P**ojęcie literatury społeczno-politycznej jest rozległe i niezbyt precyzyjne. Niewątpliwie bylibyśmy wdzięczni komuś, gdyby dał nam jej pełną definicję. Na dobrą sprawę wszystko co napisano o społeczeństwie można podciągnąć pod miano literatury społeczno-politycznej. Zauważmy jeszcze, że o problemach społecznych pisze się zawsze z określonych pozycji klasowych. Nie ma więc literatury traktującej o społeczeństwie obojętnej politycznie.

Zanim przystąpimy do meritum rzeczy warto podkreślić, że pojęcie literatury regionalnej również wzbudza uzasadnione dyskusje, zwłaszcza w środowisku literackim. Jeśli w odniesieniu do literatury pięknej sprawę można zostawić jako otwartą, to w zakresie literatury społeczno-politycznej autor zdecydowanie reprezentuje pogląd, że ona nie tylko istnieje, lecz także dynamicznie się rozwija i ma przed sobą ciekawe perspektywy.

Literaturę społeczno-polityczną Kielecczyny można rozumieć co najmniej dwójako: po pierwsze — jako literaturę powstałą na jej terenie, choć może — rzecz jasna — dotyczyć nie tylko jej problemów; i po drugie — jako literaturę powstałą na Kielecczynie i poza jej obszarem, a przedstawiającą jej problemy społeczno-polityczne. Bardziej trafne wydaje się to drugie, pełniejsze pojmowanie literatury regionalnej i tak będziemy ją traktować w dalszych rozważaniach.

Dla jasności sprawy wprowadzimy jeszcze uściślenie, a mianowicie, że będzie tu mowa o literaturze społeczno-politycznej Kielecczyny jako województwa kieleckiego w granicach sprzed 1 czerwca 1975 r., zaś wywody chronologicznie biorąc zamknijemy w ramach lat 1945—1976. Kończącą cenzurę uzasadnia fakt, że jeszcze w 1976 r. ukazały się, a zapewne i w latach następnych ukażą się publikacje o Kielecczynie rozumianej jako woj. kieleckie sprzed ostatniej zmiany podziału administracyjnego kraju.

**W**ychodząc z założenia, że polityka zaczyna się wówczas, gdy decyzje dotyczą grup, warstw i klas społecznych i że polityka to sfera konfliktu, walki klasowej i rozwiązywania problemów społecznych, do literatury społeczno-politycznej należałoby zaliczyć i publikacje przedstawiające rozwój społeczno-gospodarczy regionu. Niemniej analizie poddamy i sformułujemy wstępne wnioski głównie o literaturze konfliktu społeczno-politycznego, rewolucyjnych przeobrażeń społeczno-gospodarczych, politycz-

raz w praktyce twórców stanowiły one coś w rodzaju sygnału przygotowywanej większej pracy i najczęściej po drobnych korektach i uzupełnieniach zostały potem włączone w postaci samodzielnych rozdziałów (lub ich fragmenty) do zwartych publikacji.

Dla klarowności naszych rozważań niezbędne wydaje się wprowadzenie porządkującej klasyfikacji omawianej literatury na cztery działy: literatura naukowa, popularno-naukowa, wspomnieniowa i pamiętnikarska oraz eseje i reportaże histo-

rycznych. Jeśli do tego dodamy ponad 20 publikacji statystycznych Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Kielcach, które też w pewnym sensie da się podciągnąć pod miano literatury społeczno-politycznej, otrzymamy około 150 pozycji. Przyjrzyjmy się tym pierwszym 130 książkom i broszurom. Otóż okazuje się, że wśród nich publikacji naukowych i popularnonaukowych jest 90, wspomnieniowych i pamiętnikarskich — 32, esejów i reportaży historycznych — 8. Do ciekawych wniosków prowadzi analiza tych wydawnictw pod kątem miejsca zamieszkania autorów w okresie, kiedy tworzyli je dzieła. Globalnie biorąc 50 proc. ogółu publikacji stworzyli autorzy zamieszkali na Kielecczynie, ale naukowych i popularnych — 60 proc., wspomnieniowych i pamiętnikarskich — 22 proc. oraz esejów i reportaży historycznych — 50 proc. Warto zwrócić uwagę, że pozycje wspomnieniowe i pamiętnikarskie wyszły spod pióra ludzi Kielecczyny albo zamieszkałych na jej terenie, albo byłych działaczy politycznych i partyzantów, którzy w ramach awansu społecznego opuścili ją i osiedlili się głównie w Warszawie.

Proces powstawania i ukazywania się kieleckiej literatury społeczno-politycznej stanowi osobny interesujący problem. Analizując czynniki dynamizujące ten proces trzeba uwypuklić przynajmniej niektóre. Na pierwszym miejscu postawić wypada czynnik polityczny, w tym zaś postępy demokratyzacji życia społeczno-politycznego w naszym kraju po 1956 r. i będącą jej pochodną ogólną politykę wydawniczą oraz powstanie i rozwój młodego środowiska twórczego na Kielecczynie. Zauważmy, że aktywizując zarówno na twórców, jak i wydawców wpłynęły obchody wielkich rocznic historycznych, zwłaszcza Tysiąclecia Państwa Polskiego, XX-lecia Polskiej Partii Robotniczej i XX-lecia Polski Ludowej. Niektórzy autorzy na trwałe wówczas określili swe zainteresowania badawcze, zainicjowane prace naukowe kontynuują nadal, a ich owoce w postaci coraz bardziej dojrzałych publikacji naukowych i popularnonaukowych poświęconych Kielecczynie ukazują się i niewątpliwie będą się ukazywać w przyszłości.

(dokończenie  
w następnym numerze)

# Literatura społeczno-polityczna kielecczyny

Jan Naumiuk

nych i kulturalnych. Te zagadnienia przedstawia nam przede wszystkim historiografia regionu. Nawet pobieżny przegląd literatury społeczno-politycznej Kielecczyny pozwala stwierdzić, że w jej ramach najwięcej znajduje się publikacji właśnie historycznych. I one będą przedmiotem szczególnego naszego zainteresowania, inne zaś odnotujemy w ujęciu statystycznym.

Całą literaturę społeczno-polityczną według formalnych zasad bibliotekarstwa można podzielić na wydawnictwa zwarte, czyli po prostu — książki i broszury, których jest — generalnie biorąc — znacznie mniej, oraz wydawnictwa rozproszone, czyli artykuły, itp., które są stosunkowo liczne. Artykułami nie będziemy się tu zajmować, ponieważ nie-

ryczne. Prezentować je będziemy w ujęciu chronologiczno-problemowym, co pozwala widzieć literaturę i jako zjawisko w sensie całościowym i jednocześnie proces jej powstawania w powiązaniu z tworzeniem się środowiska twórczego w regionie oraz budzeniem się i narastaniem zainteresowania regionem twórców spoza jego terenu.

**J**ak dotychczas nie dopracowaliśmy się jeszcze — a szkoda — kompletnej bibliografii kieleckiej literatury społeczno-politycznej. Trudno więc powiedzieć dokładnie jak przedstawia się ona pod względem ilościowym. Według wstępnych ustaleń można ją szacować na około 130 wydawnictw zwar-

## NOWOŚCI

- Tadeusz Nowak — „DIABŁY: DWUNASTU”, Wydawnictwo Literackie, str. 424, zł 40.  
Janusz Głowacki — „MY SWEET RASKOLNIKOW”, PIW, str. 116, zł 15.  
Bohdan Petecki — „MESSIER 13”, Iskry, str. 260, zł 20.  
„ZĄDŁO I MIÓD MADROŚCI” (Antologia aforyzmu polskiego), Ossolineum, str. 144, zł 30.  
Tadeusz Dalecki — „GOŚCINNE NIEBO”, Wydawnictwo Poznańskie, str. 360, zł 55.  
Zofia Bogusławska — „DOM W RZECE”, LSW, str. 150, zł 16.  
Paweł Łuknicki — „LENINGRAD WALCZY”, Książka i Wiedza, str. 516, zł 100.

- Vercors — „JAK ŚLADY NA WODZIE”, PIW, str. 140, zł 20.  
Horst Wolfram Geissler — „ODYSEUSZ I KOBIETY”, Czytelnik, str. 256 zł 23.  
Earl Derr Biggers — „CHARLIE CHAN PROWADZI ŚLEDZTWO”, Iskry, str. 272, zł 35.  
Johann Wolfgang Goethe — „FAUST”, PIW, str. 540, zł 85.  
Włodzimierz Majakowski — „KOCHAM”, Wydawnictwo Literackie, str. 192, zł 60.  
Bronisław Heyduk — „JANINA” ZNAK SOBIESKICH”, Wydawnictwo Literackie, str. 268, zł 40.  
Sławomir Wilkosz — „WIETNAM — ANATOMIA ZWYCIĘSTWA I KLĘSKI”, Czytelnik, str. 315, zł 27.  
Witold Gruska — „KONFLIKT W IRLANDII PÓŁNOCNEJ”, Wyd. MON, str. 260, zł 25.  
Leszek Siemion — „LUBELSZCZYZNA W LATACH OKUPACJI HITLEROWSKIEJ”, Wydawnictwo Lubelskie, str. 362, zł 45.  
Bogusław Mrozek — „GANDHI”, Książka i Wiedza, str. 208, zł 30.  
Benon Dymek — „MAZOWIECKIE RODZINY”, Wyd. MON, str. 490, zł 50.  
„TEATR WYOBRAŹNI” (wybór słuchowisk radiowych), COMUK, str. 96, zł 29.



# Na ekranach w czerwcu

## • • • • • „MIŁOŚĆ ADELI H.” (FRANCJA)

Nareszcie wybitny film produkcji francuskiej i zrealizowany przez francuskiego reżysera, jednego z twórców słynnej „nowej fali” — **Francis Truffaut**. W niezwyklej historii najmłodszej córki Wiktora Hugo, Adeli, odnalazł on wiele interesujących go zawsze motywów fabularnych — samotność, beznadziejną walkę o realizację samego siebie poprzez uczucie, bezsilność wobec przeznaczenia. Akcja rozgrywa się w latach 1863—1866. Fabuła zamyka się w zaklętym kręgu kilku sytuacji zdeterminowanych posiępującym obłędem bohaterki, niezdolnej do wyzwolenia się z nękającej ją obsesji. Film oparty na historycznych faktach opowiada o niszczycielskiej sile wielkiej miłości, która doprowadza bohaterkę do zakładu dla umysłowo chorych. Sukces tego obrazu jest w dużej mierze zastugą młodziutkiej aktorki **Isabelle Adjani**, która od razu zyskała ogromną popularność, a w USA została obwołana najlepszą aktorką roku 1975. Wśród jej partnerów — **Bruce Robinson**, **Sylvia Marriott**, **Joseph Blatchley** i inni.

## • • • • • „BEZKRESNE ŁĄKI” (POLSKA)

Komedia liryczna zrealizowana przez **Wojciecha Solarza**, autora takich filmów jak „Molo”, „Wezwanie”, czy serialu „Wielka miłość Balzaka”. Bohaterem jest znużony codziennością i monotonią życia urzędnik, powracający we wspomnieniach do lat swego dzieciństwa. Poruszono tu problem kształtowania się osobowości mężczyzny, który w pewnych okolicznościach życiowych zostaje zmuszony do zasadniczych refleksji nad sensem egzystencji: celowością nieustannych zabiegów o zapewnienie dobrobytu rodzinie, ciągłej gonitwy za uciekającym czasem brakiem prawdziwych więzi z najbliższymi. Ucieczka na łono natury i rozliczenie z przeszłością są bohaterowi potrzebne dla odzyskania równowagi. W roli głównej **Włodzisław Głiński**, a obok niego — **Joanna Szczepkowska**, **Anna Ciepielewska**, **Janusz Kłosiński** i inni.

## • • • • • „ZŁOTODAJNA RZECZKA” (ZSRR)

Film ten opowiada o dalszych losach bohaterów „Wyprawy po złoto”. Akcja toczy się na Syberii w roku 1918. Rada Komisarzy wysłała tu ekspedycję geologów w celu poszukiwania złota. Ekspedycja znalazła kruszec, ale część jej członków w wirze wojny domowej przypłaciła to życiem. Śmierć ponieśli — inżynier **Smietkow** i komisarz **Arsen**, ale ich dzieło kontynuują pozostali przy życiu członkowie wyprawy — żołnierz **Kumanin** i córka inżyniera **Tasia**. Fabuła obfituje w wiele emocjonujących scen, akcja trzyma w napięciu. W sumie film **Wieniamina Dormana** reprezentuje przyzwoity poziom obrazu przygodowego. W rolach głównych — **Boris Smorczkow**, **Jewgienija Simonowa**, **Aleksander Kajdanowski** i inni.

## • • • • • „ŚWIATŁO” (FRANCJA)

Jest to jeden z najdziwniejszych filmów w naszym repertuarze. Słynna gwiazda filmu francuskiego — **Jeanne Moreau** — napisała scena-

riusz, sama wyreżyserowała i zagrała główną rolę w obrazie bardzo osobistym. Zrobiła bowiem film o sobie — aktorce, kobiecie, jednocześnie kształtującej swe życie i dającej się nieść nurtowi czasu. Nie ukrywa przed widzami ani swych 48 lat, ani doświadczeń życiowych, pokazuje jak wygląda jej dom, kim są jej znajomi, jej przyjaciele, jej mężczyźni. Pokazuje jak wyobraża sobie kino, kogo ceni, kogo nie lubi. Tłem akcji są jej apartamenty w Paryżu i Saint Tropez, paryskie hotele i restauracje. Wśród partnerów — **Lucia Bose**, **Caroline Cartier**, **Keith Carradine** i inni.

## • • • • • „MOI PRZYJACIELE” (WŁOCHY)

Jeszcze jedna włoska komedia obyczajowa, których mamy w naszych kinach stanowczo za dużo. Tym razem **Mario Monicelli** opowiada o przygodach pięciu leciwych panów, którym czas upływa na szczeniackich rozróbach i kawałach. Autor filmu miał jednak trudności w opanowaniu komediowego chaosu i przybywaniem coraz to nowych postaci. Nie uratowało go nawet wprowadzenie w grupę cynicznych walców romantycznego bohatera, wyznawcę anachronicznej „czystej” miłości. W rolach głównych — **Ugo Tognazzi** i **Philippe Noiret**. Ci znakomici aktorzy powodują, że film nie jest zupełną porażką.

## • • • • • „ZA ROK, ZA DZIEŃ, ZA CHWILĘ” (POLSKA)

Reżyser **Stanisław Lenartowicz** konsekwentnie dowodzi, że od kilkunastu lat choćby poprawne skłecenie filmu sprawia mu ogromne trudności. Tym razem znowu zabrał się za tematykę obyczajowo-psychologiczną. Bohaterką jest młoda Nowozelandka (!) polskiego pochodzenia, która przybywa do kraju swego ojca, by wziąć udział w konkursie skrzypcowym. Na skutek swojego gapiostwa opóźnia powrót do Nowej Zelandii i wpłtuje się w nudne perypetie, także — zdaje się — miłosne. Najlepsza jest tu muzyka, ale utworów **Henryka Wieniawskiego** czy **Piotra Figla** wolimy słuchać w salach koncertowych. W roli głównej **Christine Paul-Podlasky**, którą poznaliśmy już w rozbieganych scenach „Barw ochronnych”.

- • • • • — trzeba koniecznie zobaczyć
- • • • — warto obejrzeć
- • • — można zobaczyć
- • — można sobie darować
- — szkoda czasu



Jeanne Moreau w filmie „Światło”.

Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów w Warszawie inicjuje w tym roku po raz pierwszy wielką, ogólnopolską akcję pn. „LATO Z FILMEM”. Trwać ona będzie przez trzy miesiące, obejmując czerwiec, lipiec i sierpień. Głównym celem akcji jest maksymalne wykorzystanie kopii filmowych znajdujących się w poszczególnych Okręgowych Przedsiębiorstwach Rozpowszechniania Filmów. Gwarantują one bardzo urozmaicony repertuar, który będzie skierowany do wszystkich grup odbiorców — dorosłych, młodzieży i dzieci, uczestników kolonii i obozów, wczasowiczów oraz osób pozostających w tym czasie w mieście. Repertuar oparty będzie na pozycjach najnowszych, wprowadzonych dopiero do rozpowszechniania oraz najbardziej wartościowych i atrakcyjnych wznowieniach filmów, zwłaszcza tych, które dotąd były niedostatecznie eksploatowane. Program poszczególnych zestawów filmowych ma być dostosowany do środowiska (miejscowości wczasowe, miasta, ośrodki kolonijne i obozowe, itp.) oraz warunków w jakich pracują kina. Chodzi przede wszystkim o zapewnienie wszystkim szeroko rozumianej, kulturalnej rozrywki. Akcja „Lato z filmem” prowadzona będzie wprawdzie przez OPRF, ale inicjatywa spoczywać musi w rękach pracowników kin, którzy mają najlepsze rozeznanie co do potrzeb środowiska.

Poszczególne filmy mają być łączone w rozmaite zestawy tematyczne. Ogólnie, na szczeblu centralnym, wytypowano kilka takich zestawów. Oto kilka z nich. „Nowości miesiąca” to zestawy dla największych miast, w których znajdują się filmy premierowe, dopiero wprowadzane na polskie ekrany. „Arcydzieła światowej sztuki filmowej” przedstawiane będą na specjalnych seansach w miejscowościach posiadających kilka kin. „Ekranizacje dramatów Szekspi-

# Lato z filmem

ra” to cykl pięciu filmów: „Wieczór trzech królów” (ZSRR), „Maur z Wenecji” (ZSRR), „Hamlet” (ZSRR), „Król Lir” (ZSRR) i „Tragedia Makbeta” (Anglia). „Przeżyjmy to jeszcze raz” — wznowienia atrakcyjnych wartościowych filmów polskich („Krajobraz po bitwie”, „Hubal”, „Noce i dnie”, „Smuga cienia”, „Dzieje grzechu”, „Zaklęte rewiry” i kilkadziesiąt innych). „Komedia filmowa” to zestaw czterdziestu obrazów produkcji polskiej, radzieckiej, czeskosłowackiej, angielskiej, francuskiej, amerykańskiej i włoskiej. „Bajki, baśnie i legendy”, czyli cykl dla najmłodszych widzów obejmujący 27 filmów („Janosik”, „Królowa śniegu”, „Tomcio Paluch”, „Pippi w kraju Taka-Tuka”, „Kot w butach” i inne). „Winnetou i inni” to zestaw filmów „indiańskich” — „Testament Inków”, „Winnetou w Dolinie śmierci”, „Wódz Seminolów”, „Białe wilki” i sześć innych. Proponowany jest także cykl pt. „Filmy science-fiction”, czyli filmy fantastyczno-naukowe, a wśród nich „Solaris”, „Po drugiej stronie słońca”, „Gappa” i dziesięć innych. Natomiast „Sensacja — przygoda — ryzyko” to zestaw aż 50 filmów, które miały swoje premiery w ciągu ostatnich pięciu lat. Wreszcie dla prawdziwych kinomanów przygotowany zostanie cykl pn. „Przeboje sezonu”, w którym znajdują się najbardziej atrakcyjne filmy dla dorosłych („Żądło”, „Kalina czerwona”, „Ojciec chrzestny II”).

Obok fabularnych filmów pełnometrażowych proponowane będą także zestawy interesujących filmów krótkometrażowych na taśmie 16 mm.

Jak widać akcja „Lato z filmem” ma wszelkie szanse powodzenia. Wszystko zależy jednak od inicjatywy pracowników kin, ich operatywności, umiejętności nawiązywania kontaktów z organizatorami wczasów, kolonii, półkolonii i obozów młodzieżowych, od pomysłowości w układaniu repertuaru.



**„Dania — Polska 1:2 po koncercie kolektywu Jacka Gmocha“ donosił wielkim tytułem „Przegląd Sportowy“ z 2 maja. Z tym „koncercem“ nieco przesadzono, ale euforia wywołana zwycięstwem w Kopenhadze nie była dla mnie zaskoczeniem. Przygotowywano ją bowiem bardzo starannie w ciągu kilku dni poprzedzających mecz z Duńczykami. Ponieważ jest to zjawisko coraz nagminniej stosowane przez naszą prasę sportową (i nie tylko), trzeba mu się przyjrzeć trochę bliżej. Zwłaszcza, że takie „przygotowywanie“ do niektórych meczów naszej reprezentacji piłkarskiej prowadzi nieuchronnie do robienia wody z mózgu wielu kibicom.**

## ZAUFANIE DO BANKIERA

Tadeusz Wiącek

**P**odbijanie bębna przed meczem z Danią rozpoczęło się tydzień wcześniej. Nasza drużyna zremisowała w sparringowym meczu z Irlandią. Eksperti z polskich pism sportowych gorliwie zabrali się więc do analizowania postawy reprezentantów na stadionie w Dublinie. „Sport“ z 26 kwietnia w wielkim tytule wystawił cenzurę polskiemu piłkarzom: „5 za obronę, 2 za kontratak“. Stopnie zostały następnie precyzyjnie uzasadnione w sporym wywodzie, gdzie opisano zalety i wady każdego piłkarza. Konkluzja była jasna: z polskim zespołem nie jest najlepiej. I tak rozpoczęło urabianie opinii przed spotkaniem w Kopenhadze.

Potem kilka gazet doniosło, że stoper Żmuda ma kontuzję palca, a Henryk Kasperczak również nie czuje się najlepiej. Kibice zaczęli mieć coraz bardziej markotne miny. Wiadomo przecież (choćby po meczu z Węgrami), że nasza obrona jeszcze nie wszystko umie. A tu Żmudę boli palec. Kto go zastąpi? Jak będzie grał z kontuzją? Koncentracja na palcu stopera szybko minęła i zaczęło się systematyczne straszenie nas Duńczykami. Czytając polską prasę sportową można było śmiało dojść do wniosku, że będziemy mieć do czynienia ze światową potęgą futbolową. Zgodnym chórem intonowano, że w reprezentacji powołanej przez Kurta Nielsena tylko trzech piłkarzy gra w duńskiej lidze (jak wiadomo — jednej z najsłabszych w Europie). Pozostali to tuzy znanych drużyn zachodnoniemieckich i belgijskich, a niejaki Jensen jest asem samego „Realu“ Madryt (nawiasem mówiąc — dziś przeciętnego zespołu ligi hiszpańskiej). „Sport“ z 26 kwietnia krzychał tytułem: „Przewaga asów w talii Nielsena“. A obok inny czołowy tytuł — „Mam receptę na grę z Polakami!“ (cytat z wypowiedzi trenera Duńczyków). Z kolei podano rewelacyjną wiadomość, że „Duńczycy podglądali nas w Dublinie“. Wprawdzie tytuły w naszej prasie nie są niczym strzeżone, ale śmiesz, gdy są dosłownie powtarzane w różnych gazo-

tach. Oto „Express Wieczorny“ z 28 kwietnia ekscytował czytelników wiadomościami pod hasłem „Wojna nerwów trwać będzie do ostatniej chwili“, a w dzień później „Przegląd Sportowy“ otwierał swe łamy zawołaniem „Wojna nerwów do ostatniej chwili!“, dodając: „Warszawa: jesteśmy przygotowani na wszystko, Kopenhaga: ten mecz musimy wygrać“. Kilka gazet sportowych opublikowało bilans dotychczasowych spotkań piłkarskich Polska — Dania („Po raz trzynasty“ — tytuł z „Przeglądu Sportowego“ z 29 kwietnia, „Po raz trzynasty“ — tytuł ze „Sportu“ z 29 kwietnia). Okazało się, że do Duńczyków nie mieliśmy szczęścia, przegraliśmy z nimi aż siedem razy, przy trzech remisach i czterech zwycięstwach. Jakoś nikt nie chciał zwrócić uwagi, że ostatni raz ponieśliśmy porażkę z piłkarzami duńskimi przed 17 laty (na Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie), a potem dość regularnie gromiliśmy ich nawet w Kopenhadze. Ale takie uwagi mogłyby obniżyć przedmeczową gorączkę. Ekshumowano więc wspomnienia z roku 1948, kiedy to przegraliśmy w kompromitującym stosunku 0:8. „Przegląd Sportowy“ wydrukował nawet sprawozdanie z tego historycznego meczu, pewnie po to, by wywołać atmosferę horroru. Bohdan Tomaszewski zatytułował swój stały felieton w „Kulturze“ krótko i wymownie: „0:8“.

W ten oto sposób dość dokładnie ogłupiono wielu kibiców. Ekspert „Przeglądu Sportowego“, Mirosław Skórzewski, pisał (29.IV.): „Dla Duńczyków jest to mecz ostatniej szansy. Porażka w Kopenhadze praktycznie przekreśla ich szanse awansu do finałów „Mundial 78“. A wiadomo, jak trudno gra się z drużyną stojącą przed hamletowskim dylematem „być albo nie być“. Duńczycy zaangażują do walki wszystkie swoje siły, będą mieli za sobą własną, 50-tysięczną publiczność i jej gorący doping. Duńscy „desperaci“ mogą nie przebierać w środkach...“

Próżno szukałem przed meczem z Danią choćby kilku słów prawdy na ten temat. Ja-



koś nie udało mi się znaleźć komentarza, w którym napisano by otwarcie, że reprezentacja piłkarska Danii to zaledwie średnia, przeciętna klasa europejska, to zlepek indywidualnie niezłych piłkarzy, którzy (w odróżnieniu od nas) nie mogą spotkać się na obozie treningowym, a co za tym idzie — nie ma mowy o groźnym kolektywie. Nie przypomniano, że kilka miesięcy temu Dania przegrała z Portugalią, którą myśmy pokonali przecież dość gładko. Zapomniano, że Duńczycy mają się spotkać z trzecią drużyną ostatnich mistrzostw świata, złotymi i srebrnymi medalistami olimpijskimi, zespołem, który w ostatnich latach wygrywał z takimi rzeczywistymi potęgami jak Holandia, Włochy, Brazylia, Jugosławia, Argentyna. Ale napisanie takiej prawdy kłóciłoby się ze zbudowaną już atmosferą gorączki i zagrożenia, która nie wiadomo komu była potrzebna. Wyszło na to, że przyjdzie nam się zmierzyć z niezmiernie trudnym przeciwnikiem. A przy okazji raz jeszcze ujawniono, że eksperci z pism sportowych nie mają zaufania do Jacka Gmocha.

Przepraszam, był jeden człowiek, który powiedział to wszystko, co wyżej napisane przed meczem w Kopenhadze. Tym człowiekiem był właśnie Jacek Gmoch. Tuż przed odlotem udzielił on wywiadu przedstawicielowi telewizji. Powiedział wtedy jasno, że nie rozumie tych wszystkich panicznych doniesień, wrzawy sięgającej niepokój wśród kibiców (a domyślam się, że i wśród naszych piłkarzy), że jesteśmy drużyną silną, bardzo dobrze przygotowaną, z dorobkiem znacznie przewyższającym dokonania zawodników duńskich. Z takimi stwierdzeniami wyjechał do Kopenhagi, a następnego dnia polscy piłkarze rozegrali dobry mecz i bez specjalnego wysiłku pokonali Duńczyków (jak pisała tamtejsza prasa — mogło być 5:2 dla Polski).

Nie podniecajmy się zwycięstwem w Kopenhadze, co nie znaczy, że nie doceniam tego sukcesu, wysiłku naszych zawodników i ich trenerów. Wręcz przeciwnie. Uważam, że Jacek Gmoch swoją pracą i postawą raz jeszcze udowodnił, że w pełni zasługuje na zaufanie. Nie trzeba go więc asekurować wyolbrzymionym strachem przed każdym meczem. Kochani, przecież on wie, co robi! Jest trenerem selekcjonerem wysokiego formatu, nie intuicjonistą jak jego poprzednik, ale rzetelnym fachowcem. Przypuszczam, że mamy obecnie najlepszego na świecie „bank informacyjny“ piłkarskiej, a nasz „bankier“ Gmoch umie z niego znakomicie korzystać.

Dlatego jestem przekonany, że nasza drużyna pojedzie do Argentyny. Tylko, że tam nie będziemy się potykać z europejskimi średniakami. Przyjdzie walczyć z prawdziwie trudnymi zespołami. Naszym piłkarzom jeszcze sporo brakuje do ścisłej grupki najlepszych drużyn na świecie. Musimy ciągle szukać obrońców, bo jeden Żmuda to za mało. Przydałby się jeszcze jeden pomocnik (osobiście liczę na talent i rozwój umiejętności Bońka). Nie mamy ani jednego skrzydłowego na miarę Gadochy z mistrzostw świata w RFN. Gmocha czeka więc jeszcze dużo pracy. Ale mam do niego zaufanie i wierzę, że w Argentynie pokażemy się z najlepszej strony.





przemiany  
27





# Mój dobroczyńca - Zdzisio Prot

Jacek Fedorowicz

**N**a sposób wpadłem przypadkiem. Szukałem po całej Warszawie specjalnej marynarki potrzebnej mi koniecznie jako kostium do filmu telewizyjnego. Po długich poszukiwaniach znalazłem. Przymerzyłem. Pasowała jak ulał. Byłem szczęśliwy.

— Poproszę z rachunkiem. Dla Zakładu Produkcji Filmów Telewizyjnych.

— Dla instytucji rachunków nie wystawiamy — powiedziała pani ekspedientka — taki przepis.

Byłem zdruzgotany. Oczywiście nie miałem zamiaru szukać sklepu, który wystawia rachunki, bo wiedziałem, że ta marynarka jest tylko w tym sklepie. Jako miłośnik przepisów, przy-



klasnałem w duchu słusznemu przepisowi, który w obronie interesów klienta prywatnego zabrania instytucjom wykupywania towaru ze sklepów, lub też w obronie interesów instytucji stara się skłonić prywatnego nabywcę, aby kupił za swoje prywatne pieniądze, machnąwszy ręką na zwrot pieniędzy, co w skali ogólnokrajowej może przynieść instytucjom całkiem niezłe oszczędności. Ostatecznie można machnąć ręką na zwrot pieniędzy za rolę bibuлки, za kilo gwoździ, antenę do radia, dwie doniczki, lub stoik kleju. Ale marynarka była droga.

Stałem koło niej i było mi smutno. Nagle przypomniałem sobie pewien zwrot charakterystyczny, który padł z ust ekspedientki. Podszedłem.

— Przepraszam panią. Pani powiedziała, „dla instytucji rachunków nie wystawiamy” prawda?

— Tak.

— Czy to znaczy, że w ogóle wystawiacie, ale nie instytucjom?

— Tak.

— Komu na przykład?

— Możemy panu dać rachunek na nazwisko.

Znow przytłoczyła mnie mądrość przepisów. Oto autor zarządzenia przewidział najmniej prawdopodobną sytuację, a mianowicie, że ja, kupując coś dla siebie, poproszę o rachunek, żebym się mógł rozliczyć przed żoną, albo przed sobą samym. Coś mi już zaczęło chodzić po głowie, coś na kształt pomysłu, więc upewniłem się jeszcze:

— Czy będę legitymowany?

— Nie.

— Mogę się nazywać jak chcę?

— Co znaczy?

— Nooo... mogę wziąć rachunek na nazwisko znajomego, który mnie prosił, żebym mu to kupił?

— Oczywiście.

— No to niech pani pisze: Zbigniew Prot — sekundę! Nie pamiętam czy Zbigniew, czy Zdzisław. Chyba Zdzisio, tak, ale niech pani na wszelki wypadek napisze samo „Z” i potem kropkę. Prot na nazwisko. Przez „d” na końcu. Tak. Fajnie. Adres: Warszawa, ulica Woronicza 17.

I już.

Księgowy trochę się krzywił, że „Z. Prod.” bez „Filmów Telewizyjnych”, ale adres się zgadzał, więc pieniądze dostałem.

I tak trzeba.

Są instytucje łatwiejsze, są też trudniejsze do uznawiskowania. Ale nadaje się do tego prawie każda.

Centralny Zarząd Aptek. Ziemowit Centra. Niech pani pisze: Centra Z.

Wojewódzki Zarząd: Zenon Woj, albo Zofia Wojew — Bułarka z pochodzenia.

Najłatwiejsze zadanie mają ci, których instytucja nosi w tytule „Polski”, „Szczeciński”, „Ciechanowski”, ponieważ to już są gotowe

nazwiska. Trudniej jest wmówić ekspedientce, że nieufny znajomy, który dał nam pieniądze na zakup i wymaga od nas rachunku, ma na nazwisko „Państwowa” lub „Zjednoczenie”. Ale na wszystko jest rada, wystarczy tylko wypisać sobie pełną nazwę na karteczce i podumać.

Osobnicy zdegenerowani, którymi się wręcz brzydzę, postępują czasem w sposób następujący:

— Rachuneczek poproszę. Tak jest, wiem, imienny. Pani wypisze moim długopisem, dobrze? (Ekspedientka się zgadza, chociaż doskonale wie, o co chodzi, ale niby po co ma człowiekowi utrudniać). Marian Hanc. M. kropka, trochę wolnego miejsca pani zostawi, dobrze, starczy i teraz nazwisko. Adres w drugim wierszu! Dziękuję.

Degenerat otrzymał:

M. Hanc

Degenerat w domu bierze długopis (ten sam, nie musi dobierać odpowiedniego koloru) po „M” dopisuje całe słowo lub skrót, „c” przerabia bez trudu na „d”, dopisuje i ma bezbłędny rachunek:



Min. Handlu Wewnętrznego.

Być może zastanawiali się Państwo kiedyś, dlaczego wiele filmów w trakcie realizacji ma zupełnie inne tytuły niż potem, po wejściu na ekrany. Chodzi czasem o to, żeby zmylić dziennikarzy, którzy z upodobaniem streszczają scenariusze tych filmów w czasie realizacji, skutkiem czego widzowie już nie muszą iść do kina, ponieważ wiedzą, jak się kończy; ale głównie chodzi o to, żeby umożliwić pracę ekipie. Reżyser zbiera ekipę i mówi: mój nowy film będzie się nazywał: „Ten, który umiera późnym wieczorem”. Natychmiast podchodzi scenograf, rekwizytor, kostiumolówka i uparczywie wpatrują się reżyserowi w oczy. „No dobrze...” mruczy reżyser „niech wam będzie. Tytuł roboczy damy LAWINA. Albo MOTYL”. Ekipa dziękuje serdecznie i dopiero teraz może przystąpić do pracy, dokonując zakupów dla Franciszka Lawiny lub Ferdynanda Motyla. Bez tego F. Motyl po prostu nie mógłby być nakręcony.

Gdyby ktoś przejrzał wszystkie rachunki sklepowe w kraju, doszedłby niechybnie do wniosku, że żyje wśród nas multimilionier, który kilka lat temu obsprawił się od stóp do głów w handlu uspołecznionym, a jest nim niejaki P. Wołodziejowski.

„Miłość w balladzie „Rybka” miała charakter jednostronny. Młodzieniec, nie dosyć, że uwiódł i porzucił Krysę, to jeszcze bezczelnie przechadzał się obok rzeczki, w której pływała „ona” — przemieniona w rybke.”

„Młodzi (16-18 lat) kochają szczerze, ale miłość w starszym wieku nie jest teraz taka bezinteresowna. Kocha się wille lub własnościowe mieszkanie, lub szuka się partnera z samochodem, o czym świadczą ogłoszenia matrymonialne w prasie.”

Te dwa cytaty pochodzą z tegorocznych prac maturalnych w jednym z kieleckich liceów ogólnokształcących. Śmiać się tu, czy płakać? A może wystarczy wrzucić ramionami? Tak jak na temat dzisiejszych matur wrzuszają ramionami ludzie, którzy egzamin dojrzałości (?) zdawali przed kilkunastu laty. Wiadomo przecież, że obecnie matura ma charakter symboliczny i czysto formalny. Komu pozwolono przystąpić do egzaminu maturalnego (a ilu nie pozwolono?), ten miał trudności z jego obaleniem. Nawet jeśli udało mu się dostać dwóję z pracy pisemnej, to musiałby się jeszcze sporo namęczyć, żeby powtórzyć ten stopień na egzaminie ustnym. W Kielcach (i nie tylko) zaledwie jednostki dokonały takiego wyczynu. Ci dzielni młodzi ludzie będą mieli maturalną frajdę

jeszcze po wakacjach. Tylko dzięki nim matura nie jest jeszcze śmieszna. Chociaż...

Przed maturą srodą, a więc przed egzaminem pisemnym z języka polskiego, atmosfera była napięta, jak chyba za dawnych, dobrych lat, kiedy matura była naprawdę wydarzeniem. Krążyły niezliczone plotki stwarzające klimat skrajnej nerwowości. Oto gruchnęła wieść, że uczniowie Liceum im. Śniadeckiego już znają tematy prac pisemnych. W srodę rano zelektryzowała wszystkich niesamowita wiadomość, jakoby w nocy na Placu Partyzantów można było dostać wszystkie tematy prac pisemnych za jedyne 6 tysięcy złotych. Nic dziwnego, że koledzy zasiadali przy stolikach mocno roztrzęsieni i niezdrowo podekscytowani. Ale zaraz okazało się, że były to doznania niczym nieuzasadnione. Chociaż...

Nie wiem, kto układał tematy pisemnych prac z języka polskiego. Ważne, że kilka z tych tematów urgało językowi polskiemu. Nie będę przyczepiał się do błędów interpunkcyjnych, ale trudno nie patrzeć że zgroza na tak sformułowany temat: „Rewolucja jest to konieczność, wyższa ponad wszystko. Jest to prawo moralne...” — uzasadnij, że słowa Cezarego Baryki mają swe głębokie uzasadnienie w powieści M. Gorkiego „Matka”

spod ławki

## Nie matura...

i S. Żeromskiego „Przedwiośnie”. Zdanie to jaskrawo kłóci się z prawidłami języka polskiego. Ktoś powinien za nie dostać dwóję i to bez poprawki. Nie językowe, ale merytoryczne wątpliwości budził tak brzmiący temat: „Model miłości w utworach A. Mickiewicza, A. Fredry i E. Orzeszkowej a poglądy na ten temat współczesnej młodzieży”. Chyba po raz pierwszy w dziejach naszej polonistyki ustawiono w jednym rzędzie Mickiewicza, Fredrę i Orzeszkową. Na tej samej „zasadzie” można postawić w jednym szeregu np. Krasickiego, Conrada i Putramenta. Trudno więc dziwić się, że uczniowie, którzy podjęli ten temat wypisywali cytowane wyżej bzdury. Innych tematów nie przytoczę, bo ze względu na swą wyszukaną i zagmatwaną obszerność

zajęłyby kilka stron „Przemian”. Nie maturzyści powinni się wstydić, lecz autorzy tematów.

Problemem tym zajął się na łamach „Życia Literackiego” (8.V.) Stanisław Bortnowski w felietonie pt. „Jeśli matura, to uwznioślić!”. Szkoda, że tekst ten nie uwzniościł się miesiąc wcześniej. Byłaby jeszcze szansa, żeby dotarł do układczy tematów i skutecznie, z pożytkiem zmienić ich poglądy. Za rok mogą zapomnieć.

Na zakończenie mam jeszcze postanienie nie tylko do tegorocznych maturzystów. Trawestując stare porzekadło przypominam, że nie matura, lecz chęć szczerze robi z ciebie konesera. Oczywiście, chęć szczerza do dalszej nauki.

PIRRON





# Jak szokować

Brunon Rajca

Należę chyba do ludzi nie pozbawionych krytycyzmu i wiem, kim i czym już nie będę. Na pewno nie będę pierwszym człowiekiem, który poleci w kosmos, bo uczynił to w naszym imieniu Jurij Gagarin. Nawet gdybym ukończył przesławną krakowską Akademię Medyczną i tak bym nie przeszczepił serca u człowieka jak prof. Christian Barnard, bo nikt w tym mieście nie odstąpiłby swego serca nawet w momencie ostatniego tchu.

Nie potrzeba sięgać tak daleko. Nie mógłbym być Krzysztofem Pendereckim, bo w przeciwieństwie do mistrza uczono mnie tylko tradycyjnego zapisu nutowego. Nie mógłbym być prof. Wiktorem Zinem, bo nawet jeśli potrafię mówić, to nie potrafię malować, zwłaszcza kosztownych akwarel. Nie mógłbym być Jerzym Wittlinem, humorystą pisującym czasami to i owo do „Szpilek”, bo gdyby mnie zapraszano przed kamery TVP, musiałbym wciągać brzuch, a takie manewry z brzuchem pogarszają jak wiadomo dykcję. I nie mógłbym być nawet Wojciechem Młynarskim, bo mając słuch i głos musiałbym mówić pieśni, a to już peszy, zwłaszcza na międzynarodowych festiwalach.

Nie zazdroszczę więc nikomu sławy, ani nawet pieniędzy, bo mając pieniądze, zachciałoby mi się nagle... Nieważne czego by mi się zachciało. Lepiej nie ujawniać, bo handlowcy gotowi wpaść w jakąś trwogę, a ja będąc obywatelem świadomym, nie mogę dopuścić do zachwiania równowagi rynkowej. Istotne, że nie zazdroszczę!

Mam jednak wiele dowodów na to, że ludzie tęskniąc za sukcesem, muszą innych ludzi czynić ZASZOKOWAĆ, zaskoczyć. Na ten przykład mój przyjaciel Ryś Smózewski: nie wystarczy mu publiczność w Tarnowie. Musi więc jeździć ze swoją trupą do Krakowa, Radomia, Warszawy. Marzył mu się zawsze teatr w namiocie, który mógłby rozwijać w różnych miastach kra- ale teraz już chyba zrezygnował z kosztownego pomysłu, bo Teatrowi im. L. Solmskiego powiodło się w Warsza-

wie, a o Ryszardzie Smózewskim zorganizowano pyskówkę w „Pegazie”. Teraz — przynajmniej na jakiś czas — może już żyć spokojniej.

Inni nie dostąpili jeszcze takiego szczęścia, więc nadal szokują. Kobieta o piersiach obfitych à la Kalina Jędrusiak nie tylko parady po ulicy bez biustonosza, ale staje na skoczni narciarskiej, by wygrać ze Stanisławem Bobakiem. Nie wystarczy studentowi dyplom inżyniera, więc wybiera się pieszo dookoła świata i szuka lichwiarzy. Telewizja Polska pragnie oderwać się od ziemi i za namową reportera Janusza Zielenackiego we wszystkich już prawie programach i przy wszystkich okazjach organizuje konkursy lotni. Handlowcy chcą się wyróżnić, zamykają sklepy w godzinach największego ruchu w miastach i zostawiają karteczki: „Jestem na obiedzie”. Fabryki polskiego obuwia, by zwiększyć popularność swoich wyrobów, najciekawsze i najmłodniejsze wzory produkują w numerach 42 — dla pań i 46 — dla panów. Niedawno zgłosił się do mnie facet zawiązany, że Kraków stracił prawo organizowania samochodowego Rajdu Polski i proponuje objęcie protektoratu nad jego przejazdem „fiatem 126p” z Krakowa do Gdańska na wstecznym biegu. Nic oryginalnego — próbował już tego wyczynu reporter Janusz Roszko, ale dojechał tylko do Słomnik.

To chyba wystarczy, by przekonać się, jak dziwny jest ten świat. Tymczasem niesłychanie łatwo — tak mi się przynajmniej wydaje — zaszokować innych będąc normalnie działającą instytucją, czy też normalnie postępującym człowiekiem. Na Małym Rynku w Krakowie tłum doznał szoku! Nowoczesny, szybki „Renault”, w którym siedziało dwóch młodych ludzi, gwałtownie zatrzymał się przed metalowym koszem na śmieci. Kierowca odchylił szybę i niedopałek papierosa wrzucił do kosza, po czym odjechał.

Ludzie z podziwem kiwali głowami. Nie mogli z zachwytu oderwać oczu za znikającym samochodem

Patrzę na afisze imprez, w których dwoili się, układały na siebie już nie dni, lecz ulamki każdego dnia, na upracowany z nich diariusz i zasługi sprawiedliwie organizatorów. A oddane przez kolegów z obu naszych dzienników i radia, na stosy majowych zaproszeń spietrzonych na biurku w spory tom. Mam jakoś opisać ten miesiąc maj i, co mnie naszło?, chce mi się pochwalić całomiesięczne fetowanie kultury, choć na wszystko takie o wielkiego dzwonu patrzę raczej podejrzliwie.

Cóż ja w końcu mogłam sama sprawdzić, zweryfikować? Początek zaledwie sam studenckiej wiosny, to na ulicę, na place przebieganie, zawsze o włos od twardej kieleckiej nieufności, czy już im można na to pozwolić, ale aktywność ich artystyczną, naukową, kabarety, seminaria, wiersze, dyskusje znam, coraz lepsze, dla nas i na wynos.

Zdażyły ledwie małymi słózkami ruszyć kasztany, a szkoły już po maturach, udanych, choć pięć minut przed dwunastą zaliczył przy mnie delikwent wstrząsową mieszankę, setka neopasminy na setkę „Jasia Wędrowniczka”, na pustkę w głowie, tu w niej, gdzie za chwilę mógł być i — o dziwo — był! Erazm Otwinowski i Cezary Baryka. Podstuchalam po drodze małe wścibskie z powszechnika: — „obstawione, trzy woźne przy każdej dziurze w płocie, piszą matury, pięć godzin na same polskie, Jezu, a co tu pisać pięć godzin!” Pomyślałam, ani się obejrzyj, jeszcze ci będzie tych pięciu o chwilę bo- daj za mało.

czytelnikami potykały, dowiedzieliśmy się, że arkusz poetycki z naszego pisma kolejno tu biorą, z autorem się inni poeci zbierają, i warsztat poetycki sobie tym sposobem analizują, bez taryfy ulgowej, poeta na poetę, rozgryzają te wiersze sami, bez krytyków i teoretycznych referatów, do zgody albo niezgody. Tyle razy się to właśnie różnym środowiskom twórczym śniło, i zawsze albo w coś za mądrego obrosło, albo się organizacyjnie nie dograło, a tu bez szumu nad poezją pracują.

W „Egipcjance” w Końskich, gdzie pani Ludmiła Piwowarczyk z paniami z biblioteki spotkanie szykowały, pierwszy raz od dawna zobaczyłam pewność, spokój w oczach organizatora, o frekwencję, o trafny ożenek tego kto ma mówić i tych którzy przyszli słuchać. Dobrze się myśli, gdy każdemu własnemu słowu, niepewnemu przecież społecznego rezonansu, towarzyszy skupienie i namysł nad najtrudniejszymi sprawami czasu. To nie, że przedtem w barze pani omiotła dokładnie i mój, jedyny i na krótko zajęty stolik, z pociechą: potrawy nie ukurzę, przeciągu wielkiego nie ma. Chęć do pracy wykazała, co, metodę czy organizację swoją taką posiada, nie tam miałam o kulturze wygłaszać, mogłam zresztą nie jeść.

Najmniej ważne może widziałam z tych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Ani Radomia, ani Oronska, „secesji”, Szydłowca, w Klubie Jazzowym nie byłam, tyle seminariów mnie ominęło, koncertów, igrów. Dlaczego chwale? Że treści było więcej jeszcze, niż e-

# Książki i lasy

Irena Jarosz

Na kiermaszach nie kupiłam „Wielkiej liczby” Wisławy Szymborskiej, poetki z Krzyżem Kawalerskim nadanym tylko czy aż za samą poezję, dla nikogo nie za trudną ani w jednym słowie i myśli. Nasz ciągiły trudny wybór: książki czy lasy. Za autorskim stołem kieleckich pisarzy już nie było w tym maju Świętosława Krawczyńskiego, tego skromnego człowieka, z którym nieraz spotykałam się w zatłoczonym narodem pekaesie, gdy tak jeździł, chodząc, niezmyczony, po swoje raptularze, pod wielkie kamienie. Został w „Przemianach” jeszcze raptularz jeniecki, fragmenty i cała gdzieś powieść z konkursu, taka inna, żeśmy Go wtedy wśród swoich nie rozpoznali.

Gdy obradował wojewódzki kulturalny sejmik młodzieży, spod Urzędu ruszała do Zagajów ekipa telewizyjna. Larum się zrobiło o nie ostatni przecież zniszczony zabytek na turystycznym szlaku, ktoś spróbował terapii wstrząsowej, zamarzył się prece-dens, żeby zmusić do szanowania przepisów o ochronie dóbr kultury, pono najlepszych w świecie, których nikt nigdy nie zniósł, ale i nie każdy respektował. A w redakcji już czekał Mirek Kowalik z Rakowa, żeby nam powiedzieć, że wystawa grupy fotografików 10x10, reprezentowana kiedyś odświętnie na rakowskich „żórnkach, teraz wisi po ścianach „Baru Myśliwskiego”, czyli w GS-ie, i knajpka od razu przytulniejsza jakby, jakby się w lustrze, w swoim życiu przegładała, i czy by im z jakich magazynów ktoś nie wypożyczył w tym samym celu obrazów, za rewersem, bo sztuce uszczerbek się i na takich ścianach nie stanie, nawet powiedzieć można — przeciwnie.

W Wojewódzkim Domu Kultury, gdzie się „Przemiany” w delikatnej asyście pani Basi Sochy z

fektownych form, starych i nowych, mimo że papieru na te treści nadal przykuso? Choćby to, że go, zadrukowanego, tak szukają, to już pewność, że nie na maj, nie z dekretu wybucha kultura, oświata, że wygasły niedawne spory, czy to dla frekwencji w Dniach miesiąca najlepszy. Już jest w wielu aktywność czytelnicza, kulturalna, książka, teatr, wystawa są lepsze od czegoś. Są wartością. Miarą. To miesiąc, który mimo Stanisławów i Zofii wycisza Hi — Fi na osiedlach i częściej gasi telewizory, młodzi chodzą objęci ramieniem, tym wolnym od worka z książkami.

Hasłem tego maja jest kultura dla rodziny. To chyba nie, jak gdzieś wyczytałam, rodzinne muzykowanie, malowanie, domowe dynastie piszących sagi rodzinne. Przedszkolaczka z TPD, cztery lata, oznajmia, że teraz są dni prasy, to oni idą do drukarni, zobaczyć, jak się robi gazeta. „Śpiącego Stasia”, Wojtka i innych Wyspiańskich nie ma w sklepach „Ruchu” pełnych reprodukcji, to najlepiej idzie do dziecinnego pokoju. Star-sza pani w kiosku bezinteresownie kibicuje: niech ci mamusia książeczkę lepiej kupi, niech ci poczyta.

Chyba dlatego kultura dla rodziny, żeby mama chciała, mogła czytać z dzieckiem jego pierwszy bestseller, zamiast pani z telewizji, płatnej, obojętnej co czyta, choćby najpiękniej. O to pierwsze nad książką „dlaczego?” nie do szklanego obrazu, zanim urosną i odpowiedź znajdą u Grochowiaka, Szymborskiej, Parnickiego. Wtedy chyba już nareszcie będą dla nich i książki i lasy.



● Prezjantem Rada Naukowej Towarzystwa Wiedzy Powszechnej odbyła w Ameliówce sesja plenarna nt. działalności oświatowej w środowisku chłopów-robotników. Sesję przewodniczył prof. dr Bogusław Leśnodorski. W ciągu dwudniowych obrad członkowie Rady Naukowej IWP i aktywiści Towarzystwa oraz pracownicy nauki kieleckiej WSP przedyskutowali problemy przemian struktury społeczno-zawodowej klasowej wsi, zagospodarowania czasu wolnego tej grupy pracowników dla potrzeb kultury i oświaty, przemian światopoglądowych roli TWP jako organizatora, animatora poczynań oświatowych zarówno w zakładzie przemysłowym, jak na wsi. Sesję połączono z wycieczką szlakiem Gór Świętokrzyskich, spotkaniem z twórcami ludowymi, spotkaniem z pracownikami Jędrzejowskiego „Rekordu”.

● W Radomiu odbyła się sesja dziennikarzy z całego kraju, redaktorów depeszyowych prasy, radia i telewizji, publicystów ekonomicznych oraz przedstawicieli gazet zakładowych z przedsiębiorstw kooperujących z budową Elektrowni „Kozienice”.

● W Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy w Radomiu wiele imprez przebiegało pod hasłem: „Robotniczy maj”. W RWT odbyło się spotkanie „Literaci radomskiej klasie robotniczej”, w którym wzięli udział: Julian Kawalec, Tadeusz Śliwki i Roch Sulima. Uroczystości, spotkaniem z władzami politycznymi i administracyjnymi województwa, obchodzili czytelnicy trzydziestolecia „Życia Radomskiego”. W foyer sali koncertowej WDK otwarto wystawę fotografii prasowej Bronisława Dudy i Wojciecha Stana, „Portret ziemi radomskiej”, czytelnikom zaprezentowano film „Kronika województwa radomskiego”. Dzień rzemiosła artystycznego był udanym przeglądem dorobku miejscowych twórców, kowali, rzeźbiarzy, hafciarek, koronkarek.

## KRONIKA KULTURALNA

● W ZDK w Starachowicach odbyła się ogólnopolska prezentacja teatrów robotniczych z programem autorów radomskich.

● Radomski kabaret „Contra” przedstawił nową premierę, „Leb”, w Spółdzielczym Klubie Kultury „Relaks”.

● W Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Kielcach odbyła się, zorganizowana przez Instytut Historii WSP, Oddział Kielecki PTH i sekcję historyczną KTN, sesja naukowa nt. „Dzieje Kielecczyzny w historiografii Polski Ludowej, stan i program badań”.

● W Zakładowym Klubie Kultury przy FLT „Iskra” w Kielcach odbyła się wystawa tkaniny artystycznej Eweliny Ziemia, zorganizowana przez BWA i „Iskrę”.

● W IV Przeglądzie Harcerskich i Szkolnych Zespołów Artystycznych „Kielce 77” wzięło udział ponad 2600 uczniów szkół województwa radomskiego, reprezentujących 86 zespołów. I miejsce zdobył zespół akordeonistów przy Komendzie Chorągwi ZHP w Radomiu. Do udziału w festiwalu „Kielce 77” zgłoszono trzy zespoły artystyczne.

● W Klubie Budowlanych w Kielcach otwarto w maju wystawę radziecką „ZSRR – kraj turystyki i przyjaźni”. Otwarcie wystawy połączono z konferencją prasową zorganizowaną przez ZG Urzędu Turystyki Zagranicznej przy Radzie Ministrów ZSRR w PRL, oraz projekcją filmów tematycznie związanych z wystawą.

● Plenarne posiedzenie ZW Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej poświęcono omówieniu zadań wojewódzkiej organizacji TPPR w obchodach 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

● V doroczną wystawę zaprezentował w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach Foto-Klub „Kontrast”.

● Towarzystwo Przyjaciół Górnictwa, Hutnictwa i Przemysłu Staropolskiego w Kielcach, Urząd Miasta i Gminy w Chęcinach, KTN i Oddział PTH zorganizowały w maju sympozjum naukowe poświęcone chęcińskiemu górnictwu kruszczowemu.

● Wytwórnia płyt gramofonowych „Pronit” w Pionkach wyprodukowała ostatnio dwa long-playe z piosenkami w wykonaniu: Maryli Rodowicz „Sing-Sing”, „Dama być”, „Moja mama jest przy forsie”, „Domowa czarownica”) i Zdzisławy Sośnickiej („Moja muzyka – to ja”, „Należy nam się taki dzień”, „Bawi mnie świat”).

## Święto Prasy

Święto Prasy stało się już nieodłącznym elementem Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy na Kielecczyźnie i Ziemi Radomskiej. Zresztą ma ono już swoją bogatą tradycję od kilkunastu lat temu urządzono pierwsze na dużą skalę święto „Słowa Ludu”. Od tego czasu niemal co roku zmienia się formuła tej ogromnej imprezy kulturalnej. Inaczej przebiegało też tegoroczne Święto Prasy w Kielcach i Radomiu. Przede wszystkim miało tym razem bardziej uroczysty charakter z powodu jubileuszu 30-lecia Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”, a więc wydawcy wszystkich trzech pism wychodzących w Kielcach – „Słowa Ludu”, „Echa Dnia” i „Przemian”. Ponadto po raz pierwszy połączono Święto Prasy z bogatymi imprezami Studenckiej Wiosny Kulturalnej. Sądymy, że próba ta zdała egzamin i warto ją kontynuować.

Przez cztery dni (7–10.V) Kielce i Radom opianowane zostały przez brat studentek, która zawiązała oboma miastami w niemal dosłownym sensie. W Kielcach prezydent przekazał na ten czas klucze miasta studentowi burmistrzowi – Marianowi Popisowi z IV roku WSP, który przyrzekł: „Obiecuję, że gród jako stoi, i po igrach stać będzie”. Słowa dotrzymał. W Radomiu studenci kandydaci na burmistrza poddani zostali ciężkim próbom. Zwycięsko wyszedł z nich student II roku Instytutu Tworzyw Sztucznych i Skóry Politechniki Świętokrzyskiej – Leszek Sułek, który objął „władzę” w mieście.

Nie sposób w krótkim komentarzu pomieścić choćby w maksymalnym skrócie relację z wszystkich koncertów, zabaw, korowodów, występów. Przypomnijmy zatem tylko najważniejsze. Mieszkańcy Kielce i Radomia mogli przekonać się podczas barwnych, studenckich korowodów, iż młodzież studencka potrafi ująć zarówno pomysłowością, jak i kulturalnym (choć zarazem pełnym humorem) zachowaniem. Niespodziewane pogorszenie pogody (chłód i deszcze) pokrzyżowały nieco program imprez otwartych. Ale kto widział tłok w studenckich klubach i sali Filharmonii Kieleckiej, ten wie teraz jak chłonną mamy młodzież na zjawiska kulturalne. Zresztą wysoki poziom występów gwarantowały tak renomowane zespoły, jak – Royal-Rag z warszawskiej „Stodoły”, Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Rzeszowskiej „Poloniny”, „Gong II” z Lublina, Teatr „Provisorium” z Lublina, Studencka Otwarta Grupa X, „Onomatopeja” z Warszawy, „Old Metropolitan Band”, Zespół Pieśni i Tańca UMCS, „Scena 6” i wiele innych. Na tym tle zupełnie dobrze wypadły nasze studenckie zespoły, z kabaretem „Pod postacią”.

Na osobną uwagę zasługiwał spektakl „Drzewo Zwycięstwa”, który oglądaliśmy w amfiteatrze na Kadzielni w reżyserii Henryka Giżyckiego. Niezwykle trafnie i pomysłowo połączono tu poezję z filmem, światłem i dźwiękiem, a strofy „Pieśni o Michniewie” Ryszarda Miernika zabrzmiały z nową siłą.

Połączenie święta młodzieży i prasy zostało z aplauzem przyjęte przez wszystkich – czynnych i biernych – uczestników. Za rok powinno być jeszcze lepiej, byle tylko pogoda nareszcie dopisała.

● Poseł na Sejm, I sekretarz KW PZPR w Kielcach, Aleksander Zarajczyk, spotkał się z aktywnym ZSMP.

● Starachowiccy drzewiarze zdobyli na własność sztandar przechodni Ministerstwa Leśnictwa za kolejne zwycięstwo we współzawodnictwie pracy.

● W Kielcach z udziałem sekretarza NK, Bronisława Owsianika, odbyło się plenium WK ZSL poświęcone doskonaleniu pracy kół ZSL.

## JEDNYM ZDANIEM

● Na ziemi radomskiej gościł wiceprezes Rady Ministrów, Kazimierz Secomski, który w towarzystwie ministra administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska – Marii Milczarek i gospodarzy województwa, I sekretarza KW PZPR – Janusza Prokopiaka, wojewody – Romana Maćkowskiego, zwiedził województwo, zapoznając się z planami społeczno-gospodarczego jego rozwoju.

● Członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR – Stefan Olszowski, w towarzystwie gospodarzy województwa, I sekretarza KW PZPR – Aleksandra Zarajczyka i wojewody – Józefa Stańskiego, odwiedził Starachowicką FSC, zwiedzając niektóre działy oraz spotkał się z aktywnym fabryki.

● W województwie radomskim przebywał wicepremier Józef Kępa, który zapoznał się z budową cementowni „Wierzbica II”.

## KONKURS RADIOWY

Rozgłośnia Polskiego Radia i Telewizji w Kielcach z okazji 25-lecia swego istnienia ogłasza konkurs otwarty na słuchowisko radiowe pod hasłem „Współczesność”.

Organizatorzy oczekują słuchowisk traktujących o problemach społecznych, moralnych, etycznych, politycznych nurtujących całe polskie społeczeństwo w latach siedemdziesiątych. Sprawy np. odpowiedzialności, zaangażowania, aktywnej postawy wobec rzeczywistości, to sprawy powszechne; organizatorzy nie wyznaczają zatem dodatkowego kryterium regionalnego.

Tekst słuchowiska, nie przekraczający trzydziestu stron maszynopisu z podwójną interlinią, w trzech egzemplarzach opatrzonych godłem, należy przesłać pod adresem PR i TV w Kielcach (Kielce, ul. Związku Walki Młodych 4, nr kodu pocztowego 25-317, z dopiskiem „Współczesność”) w ostatecznym terminie do 1 października br.

Organizatorzy konkursu przewidują następujące nagrody:

I – 15.000 zł  
II – 10.000 zł

III – 5.000 zł oraz trzy wyróżnienia po 2.000 zł.

Jury pod przewodnictwem W. Bilipa zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród. Nagrodzone i wyróżnione słuchowiska będą sukcesywnie realizowane przez miejscową rozgłonię od momentu rozstrzygnięcia konkursu.

Redaktorowi  
ZBIGNIEWOWI NOSALOWI  
serdeczne wyrazy współczucia  
z powodu śmierci

OJCA

składają  
koledzy z zespołu redakcyjnego  
„Przemian”

przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny. Zespół redakcyjny: Irena Jarosz, Zbigniew Nosal, Henryk Papierniak (opracowanie graficzne), Wojciech Podolecki (sekretarz redakcji – tel. 496-79), Bogusław Rajchert, Stanisław Rams, Tadeusz Wiącek (redaktor naczelny – tel. 489-91). Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo ich skracania. Adres redakcji: ul. Śniadeckich 2, 25-366 Kielce.

Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch” Kielce, pl. Obrońców Stalingradu 2. Prenumeratę przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał i półroczną oraz na cały rok; do 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty. Zakłady pracy, instytucje organizacje składają zamówienia na prenumeratę w miejscowym oddziale RSW, a w miejscowościach, w których nie ma tego oddziału, w urzędach pocztowych bądź u doręczycieli. Natomiast prenumeratę indywidualnie wyłącznie w urzędach pocztowych bądź u doręczycieli. Cena prenumeraty: kwartalna – zł 21, półroczna – zł 42, roczna – zł 84. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa. Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch” Kielce, ul. M. Buczka 11, tel. 430-64. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Kielcach Nr ind 37240/37143 Nakład 20.210. S-5.



# to się nosi

Proponuje projektant mody  
Grażyna Łęska - Baranowicz

Te wszystkie małe elegantki i strojnisię (nasz prezent dla nich na Dzień Dziecka i całe lato) są na pewno — to widać — nareszcie wyjęte z nonajronów, bistorów i wszelkich tzw. praktycznych ubranek, w których dzieci, od pieluch postrój na dużą galę chodzić nigdy nie powinny. Widać, że te falbanki, riuszki, balerinki i brudzą się, i prosować je trzeba precyzyjnie, ale w tym właśnie, w zdobytym gdzieś tam kawałku bawełny, białej krótki, w hałci i śmiesznej aplikacji na teksasie, na podkolanówkach jest urok i styl wieku, w którym — trudno w to uwierzyć — kobieta najbardziej chce się podobać, a i młody mężczyzna dba o siebie, choć się mniej chętnie do tej słabości przyznaje. Ogólne tendencje dziecięcej mody nie odbiegają na pozór od modeli obowiązujących starsze siostry i mamy, ale tu można sobie śmiało pozwolić na o wiele więcej odwagi, i krajem, dodatkami, kolorem podkreślać atuty a tuszować błędy urody, których małe kobiety mają w swoim przekonaniu tak dużo, że aż dziw, jakie piękne dzieci chodzą po Polsce, gdy tyle ich przed lustrem do tej grymasi, że i nos nie taki, i w pasie nie tyle i nie te nogi.

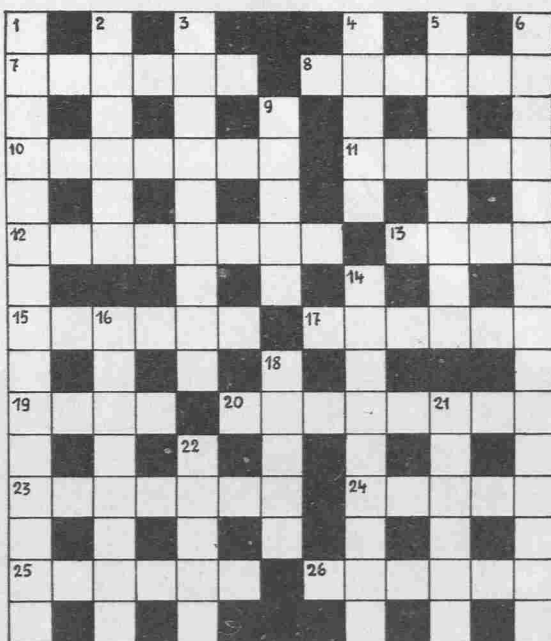
Ubieramy je tak, jak umie siebie podać świadoma swojego stylu dziewczyna, będą ładne, naturalne, wesole, i w piaskownicy i na imieninach u cioci.

Pani Grażyna specjalnie lubi ubierać dzieci. Zapraszamy do naszej poradni, jak zawsze, w czwartki, w godz. 12—13 w lokalu „Przemian”, ul. Śniadeckich 2, tel. 49679.



POZIOMO: 7) karaluchowaty szwab, 8) w herbie Kielc i firmowym znaku „Gerlacha”, 10) do odgadnięcia, 11) już nie do jazdy pojazdy, 12) pies (fruujący) na myszy, 13) cierpka przyprawa, 15) nadzorował robotników rolnych, 17) satelita wazy, 19) między plusami a minusami, 20) ptak, który ma wiele wspólnego z 6 pion., 23) ponad miarę, 24) wodne są grzybieni, 25) Thomas — wynalazca wszechstronny, 26) kółka pod stopami.

PIONOWO: 1) sojusznik, 2) w Bułgarii tak się ma do Warny, jak u nas do Szczecina Gdańsk, 3) znawca serca, 4) przysmak jedwabników, 5) protekcja, 6) zapamiętanie w gniewie, 9) wąż wyłobiony przez wodę, 14) brulion na odręczne spisywanie zdarzeń, 16) pogardliwie mówi się — badylarz, 18) harcerska, stóra — i do rymu, 21) cech z plusem, 22) pejzaż.



## KRZYŻÓWKA 81

Wśród czytelników, którzy do 15 czerwca br. nadesłali rozwiązanie, rozlosujemy 500-złotowy bon oszczędnościowy. Pod adresem redakcji („Przemiany”, ul. Śniadeckich 2, 25-366 KIELCE) dopiszcie: Krzyżówka 81.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 80

Poziomo: nosze, liga, parowiec, kontemplacja, para, literatura, swaty,

szyna, pastorałka, fama, minimalistka, Klonowic, dres, zwada.

Pionowo: mimoza, Nastka, stymulator, epolety, fryc, zwiastun, rektor, popłot, rys, rozpadlina, Ate-na, witamina, aga, tłumacz, Anzelm, fasada, Makbet, niwa.

NAGRODĘ (bon na 500 zł) wysyłamy p. Zofii Relidzińskiej, ul. Piekoszowska 34 m. 29, 25-621 Kielce.

## Artystki, artystki...







**ZBIGNIEW KAMIŃSKI** urodził się 23 maja 1951 roku w Radomiu. W latach 1970–75 studiował w krakowskiej i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom z wyróżnieniem otrzymał w 1975 roku.

● W Zakładowym Klubie Kultury przy FLT „Iskra” w Kielcach odbyła się wystawa tkaniny artystycznej Eweliny Ziemia, zorganizowana przez BWA i „Iskrę”.

● W IV Przeglądzie Harcerskich i Szkolnych Zespołów Artystycznych „Kielce 77” wzięło udział ponad 2600 uczniów szkół województwa radomskiego, reprezentujących 86 zespołów. I miejsce zdobył zespół akordeonistów przy Komendzie Chorągwi ZHP w Radomiu. Do udziału w festiwalu „Kielce 77” zgłoszono trzy zespoły artystyczne.

● W Klubie Budowlanych w Kielcach otwarto w maju wystawę radziecką „ZSRR – kraj turystyki i przyjaźni”. Otwarcie wystawy połączono z konferencją prasową zorganizowaną przez ZG Urzędu Turystyki Zagranicznej przy Radzie Ministrów ZSRR w PRL, oraz projekcją filmów tematycznie związanych z wystawą.

● Plenarne posiedzenie ZW Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej poświęcono omówieniu zadań wojewódzkiej organizacji TPPR w obchodach 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

● V doroczną wystawę zaprezentował w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach Foto-Klub „Kontrast”.

● Towarzystwo Przyjaciół Górnictwa, Hutnictwa i Przemysłu Staropolskiego w Kielcach, Urząd Miasta i Gminy w Chęcinach, KTN i Oddział PTH zorganizowały w maju sympozjum naukowe poświęcone chęcińskiemu górnictwu kruszczowemu.

● Wytwórnia płyt gramofonowych „Pronit” w Pionkach wyprodukowała ostatnio dwa long-playe z piosenkami w wykonaniu: Maryli Rodowicz „Sing-Sing”, „Dama być”, „Moja mama jest przy forsie”, „Domowa czarownica”) i Zdzisławy Sońnickiej („Moja muzyka – to ja”, „Należy nam się taki dzień”, „Bawi mnie świat”).

● V  
Bronisław  
WK Z  
ZSL.

● M  
Radcy  
w tou  
spodar  
Marii  
I sekre  
piaka,  
zwiad  
nami

● KC P  
twie  
KW P  
jewod  
rach  
dział

● wicep  
z bu

Mie  
Pap  
Bog  
Rek  
Adr

przemiany

Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: jankiem grudnia poprzedzającego okres prenumeraty. Zakład a w miejscowościach, w których nie ma tego oddziału, w u pocztowych bądź u doręczycieli Cena prenumeraty: kwartaln jest o 50 proc. droższa od prenumeraty krajowej. przyjm Warszawa Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Kielcach Nr ind